

Nr 4 (71)
2017



ISSN 1732-1069



CZASOPISMO LITERACKIE

PEGAZ
LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

W TYM NUMERZE: OD REDAKTORA NACZELNEGO: MORAWSKI i INNI * ESEJE JERZEGO ALSKIEGO i ROBERTA RUDIAKA * WIERSE POD CHOINKĘ, JERZEGO HAJDUGI, ZDZISŁAWA MORAWSKIEGO, FREDA GŁODZIKA, WŁADYSŁAWA ŁAZUKI * NOWE WIERSE POETÓW GORZOWSKICH * WIERSE ZZA MIEDZY: JOLANTY KARASIŃSKIEJ, HANNY SZCZĘSNEJ i MICHAŁA BANASZAKA * PODRÓŻE PISARZY: MARKA BUCHOLSKIEGO i LUDWIKA LIPNICKIEGO * ZAPISNIK NIECODZIENNY CZESŁAWA SOBKOWIĄKA * RECENZJE PIÓRA KRYSZTYNY KAMIŃSKIEJ i ANNY DOMINIĄK O NOWYCH KSIĄŻKACH LUBUSKICH: POEZJI MARKA PIECHOCKIEGO, ROMANA HABDASA, KRYSZTYNY WOŹNIAK; PROZIE ŁUCJI FICE i MARKA BUCHOLSKIEGO * WIADOMOŚCI KULTURALNE i LITERACKIE Z CAŁEJ JESIENI POD REDAKCJĄ EWY RUTKOWSKIEJ * ZAPOWIEDŹ JUBILEUSZOWEJ „KSIĘGI ŻYCIA” i FRASZKI TADEUSZA SZYFERA.

★
my
dla Was
DUŻO
szczęścia
i miłości życzymy
20 17
W RODZINIE
Szczęśliwego
NOWEGO ROKU
w zdrowiu i zasobności
HAPPY w zgodzie, w pogodzie,
NEW YEAR W ŚWIĘTA
I PO ŚWIĘTACH
w Wolnej Polsce

Jerzy Hajduga
BÓG DZIECKIEM

okna rozwieszone
jak światełka
na choince
z moich jeszcze
ciebie
wyglądam



Juliusz Piechocki

Jerzy Hajduga

WIGILIA TAK NAPRAWDĘ

Trwa moda, która stała się obowiązkiem, że Wigilię należy koniecznie przeżyć w wielu miejscach, a nawet na ulicy, zanim człowiek zasiądzie do wieczerzy z najbliższymi w czterech ścianach domu. Tysiące mieszkańców, przede wszystkim biedni i bezdomni, decyduje się spędzić kilka godzin na zimnie, w przygodnym towarzystwie, by zjeść coś ciepłego za darmo i podzielić się opłatkiem. Ci sami, którzy przez cały rok na widok siebie przyspieszali kroku, odwracali z niesmakiem głowy. Te same twarze w jednym miejscu, tylko pora inna. Wieczera wigilijna.

Powiedzmy sobie szczerze – w takim czasie nie obchodzi nas, co myślimy o sobie przez cały rok. Zapominamy o tym pierwszym momencie, kiedy coś się między nami urwało. Patrzymy na siebie nawzajem i znika między nami niewidzialny mur. Ktoś z opłatkiem zatrzymuje się dłużej i nie chce już ani gdziekolwiek, ani dalej pójść. Przystajemy się oburzać na widok ludzi brudnych i cuchnących alkoholem. Przystajemy umoralniać młodzież zaćpaną, która tutaj znalazła się, bo nawet nie wie, na jakim świecie żyje. My mamy dokąd wrócić i po przekręceniu zamka w drzwiach zostawić za sobą kłopoty i zmartwienia. I może różnica pomiędzy naszymi światami jest właśnie w tych drzwiach, które otwieramy lub zamykamy.

Na czas prawdziwej Wigilii zamykamy drzwi. Stajemy wszyscy, najbliżsi sobie, żeby przeła-



OD RED. NACZ.

O MORAWSKIM I INNYCH

Drodzy Moi!

Miało być w tym numerze sporo Morawskiego. 28 października minęło 25 lat od jego odlotu na Niebieskie Pastwiska Pegaża. Był uznawany za gorzowskiego księcia poetów i ja go do dziś za takiego uznaję. Pięć lat temu ułożyłem i oddałem do druku bogaty wybór jego wierszy „Rzecz o dorzeczności” na dobrym papierze, w miękkiej i twardej oprawie. Zapomniał ją dopisać do bibliografii Janusz Dreczka, autor wspomnień o Zdzisławie na łamach ostatniego „Echa Gorzowa” zatytułowanych „Ludzie z natury rzeczy”. Polecam lekturę.

Miałem i ja napisać coś w podobnym stylu, ale zrezygnowałem, bo wiele fraz musiałoby być „z natury rzeczy” podobnych. Jest za to kolumna wierszy wybranych pod poetyczną choinkę w „Jedynce”, które przeczytają „rocznicowi czytacz” Beaty Patrycji Klary, którą za jej talent i aktywność w upowszechnianiu poezji uznaję za księżniczkę poetek. A jeśli coś mógłbym o Zdzisławie dodać do tekstu o nim w „Echu”, to kilka jego ważnych słów o sobie jako poecie i pisarzu.

Swoją drogę literacką Zdzisław Morawski rozpoczął w Gorzowie w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. W latach sześćdziesiątych był już poetą dojrzałym, aspirującym do ponadlokalnego uznania przez krytykę i ogólnokrajowe czasopisma. Sam tego nie krył: „Odkąd zacząłem wodzić piórem po papierze i układać strofy wierszy, marzyłem o przystąpieniu do pisarskiego stanu. Wielka to pokusa zasiadać w krzesłach korporacji, do której zalicza się Kochanowskiego, Mickiewicza, Norwida, Leśmiana, Przybosa, Irzykowskiego i Sandauera. (...) Zostali oni usytuowani na wyższych piętrach społecznej piramidy jako ci, co ich własny naród spośród siebie wypromował, tak stali się jego wybrańcami, by mu opowiadali o jego bólu i trosce swoim bólem. Pisarz był dla mnie zatem niezwykle wytwórcą tekstów dla producenta książkowego towaru, był autorytetem społecznym, pisarstwo postawą”.

Parę miesięcy temu w rozmowie z przyjacielem, profesorem-miłośnikiem chrobotków, poetą, powieściopisarzem („Pan Iko”, „Zachód słońca”), wyraziłem żal, że odkąd odszedł z AWF-u na zasłużoną emeryturę, odszedł także od nas, jego przyjaciół i czytelników, którzy z numeru na numer swojego „Pegaza” nie uświadczają w nim jego tekstów. I oto niespodzianka – dostałem List! Podzieliłem się z Wami, za zgodą autora. Warto przeczytać.

Wszystko w tym numerze jest warte przeczytania. Przecież po to robię to pismo. Także esej przez Roberta Rudiaka podany do rozważenia w aspekcie dopiero co minionych andrzejkowych wróżb, co mają się spełnić w przyszłości i i tych, które już przewidzieli mądrzy polscy utopiści.

Tradycyjnie, w grudniowej edycji naszego czasopisma esej otwarcia należał do księdza-poety, naszej i świętej pamięci Marka Grewlinga. Poprosiłem, by pierwszą szpaltę, z przeniesieniem na kolumnę obok, przejął dziś ksiądz-poeta, Jerzy Hajduga – częsty gość na naszych łamach, który nieraz już dzielił się z nami opłatkami przywiezionymi z Drezdenka. Obiecał i tym razem zaaranżować tę Jedyną Chwilę...

Wszystkim Wam najwspanialszego uświęcenia Bożego Narodzenia życzy red. nacz.

Ireneusz K. Szmidt

JERZY HAJDUGA

cd. ze str. 1

mać się opłatkami i zapomnieć o urazach i krzywdach. Na miejskich wigiliach uczymy się być dobrymi dla innych, w domu chcemy być dobrzy chociaż tylko dla siebie. Trudne to zadanie, czas je rozwiązać i najlepsza ku temu okazja to, oczywiście,

Domowa Wigilia:

*jest wreszcie taki wieczór
kiedy jesteśmy razem
pod jednym dachem
tak naprawdę
podchodzimy do siebie
patrzmy na ręce
patrzmy w oczy
jak łą*

FRED GŁODZIK Świąteczna misja

Do Mikołaja Pan Nieba Ziemi
ozwał się głosem proroczym:
Oto już zima, koniec jesieni,
zakładaj ubiór roboczy.

Mojego Syna czcisz urodziny,
nadchodzi bowiem czas święty,
pracuj wydajnie, bierz nadgodziny,
hojnie rozdawaj prezenty.

Mikołaj odrzekł: Panie Stworzenia,
światem owładnął kapitał,
w jego dziś rękach jest cała Ziemia,
gdzie chciwość czai się skryta.

Tak się już dłużej pracować nie da,
dziś liczy się tylko pieniądź,
zwiększą swe zyski, bo wzrośnie sprzedaż,
oni dobroci nie cenią.

Mam stać w markecie jako manekin,
czy mam się stać korposzczurem?
Trwałem w swej roli przez całe wieki,
pora na emeryturę.

Lecz Stwórca odrzekł: Mediów nie słuchaj,
nie wierz w głupawe reklamy,
ruszaj do pracy i nie trać ducha,
nie jesteś wcale przegrany.

Wierz w swoją misję, bo jesteś święty,
rozdawaj radość wśród ludzi,
możliwe, że przez twoje prezenty
w kimś się sumienie obudzi.

Może w kimś myśli rozproszysz czarne,
gdy mu się prezent spodoba,
bo przecież mamy swój własny target.
Ale to wiemy my obaj.



WSZYSTKIE BEZCENNE DNI

Prawie dwadzieścia pięć tysięcy dni. Tyle ich przeżyłem od czasu, kiedy po raz pierwszy przywitałem się ze światem. Były to dobre dni, nawet te, kiedy bolało mnie osiem połamanych żeber i nawet te, kiedy smutek ścisnął mi serce. Nawet te ogarnięte rozpaczą – wszystkie były dobre. Wszystkie przeżyłem, nawet jeśli niejednej nocy mówiłem do siebie, że lepiej, żeby ten następny nie przyszedł, żeby noc została na zawsze, że najlepiej byłoby zasnąć i nie obudzić się już nigdy. Wszystkie były dobre.

Dlatego że były. Nie jest możliwe przeszacowanie wartości przeżytego dnia – bo jest on bezcenny, każdy jeden. Nie można kupić sobie dnia życia. Żyjemy w świecie, w którym niektórzy – oczywiście! – mogą sobie kupić nerki, serce, płuca, ale nie można kupić sobie dnia nawet za wszystkie pieniądze całego świata. Dnia do przeżycia przez siebie – dnia na własność, jeszcze jednego dnia dodanego do tych, które są dane każdemu z nas. Dzień w dzień przeżywamy coś, na co nie ma ceny, z każdym nadchodzącym dniem dostajemy coś bezcennego, każdy odchodzący dzień pozostawia w nas walor nie do przeszacowania. Ach, robimy tyle niepotrzebnych rzeczy, gubimy godziny, wpatrując się w szklane ekrany, fundujemy sobie rozrywki, często nie najwyższych lotów – marnotrawienie dni, marnotrawienie czasu ma w sobie aurę niesłychanie arystokratycznego gestu – jeśli by wyobrazić sobie wrzucenie w ogień „Madonny” Rafaela i potem wpatrywanie się w płomień, aby w nich poszukiwać duszy obrazu, to będzie to bliskie, ale jeszcze nie to. To coś jeszcze większego. Wszyscy jesteśmy arystokratami – przysługuje nam prawo tego, co filozofia nazywa nad-użyciem – jouissance, zmarnotrawieniem dla czystej przyjemności, radości, szczęścia. Każdy z nas jest posiadaczem majątku niewyobrażalnej wartości i korzysta z niego do ostatniego należnego dnia, ostatniej chwili. Dlatego uważam, że każdy mój dzień był dobry. Bo nie może być inne niż dobre coś, co jest bezcenne.

Istnieje nierozwiązywalny problem cierpienia, jakże powszechnego. Spróbuję z nim się zmierzyć, licząc się z porażką już na wstępie – bo przecież jest to możliwe. Jakżeż zaliczyć do dobrych dni, w których cierpieliśmy – dni owładniętych bólem ciała czy duszy? Cierpienie jest złem. Rzadko – nawet jeśli – niesie w sobie coś dobrego. Kiedy trwa. Trwanie w cierpieniu jest złem, a co najmniej jest odejściem od dobra. Czy już się poddać? Jeszcze nie, bo jeśli któregoś z następnych dni cierpienie ustanie – a tak się dzieje zazwyczaj – to ten dzień będzie po wielokroć cenny, a za nim następne nadchodzące: cennością uwolnienia od zła, uświadomienia sobie dobrodziejstwa każdego nowego dnia, uszlachetnienia zmysłów i refleksji dostrzegających teraz różnicę. Zatem nie mogły być ze wszystkim złe dni cierpienia, skoro przyniosły dobro. Jak pisze Mistrz Eckhart: „Bo poznanie jest światłem duszy, a wszyscy pragną go z samej natury, gdyż dobre jest poznanie nawet złych rzeczy”. Jeśli dobre jest poznanie nawet złych rzeczy, to dobre jest poznanie rozpacz i cierpienia, zatem dobre w szczególności – nawet jeśli odmienny – sposób, są dni z ich ciężarem. Bo wiodą do dni po wielokroć dobrych, już pozbawionych cierpienia, ze świadomością uwolnienia od niego, ze świadomością różnicy między tamtym a tym. A ona utwierdza nas w pragnieniu kolejnych dni.

Zaś jeśli cierpienie prowadzi do śmierci? Lub rozpacz prowadzi do śmierci? Wówczas rozważanie staje się trudniejsze, ale też możliwe. Bowiem rozstanie z czymś tak bezcennym, jak dzień do przeżycia, nie jest łatwe. W cierpieniu, w rozpacz mieszka siła rezygnacji. Do oswojenia się z odejściem, do decyzji pogodzenia się z nie-przeżyciem, do przygotowania na zatrzymanie siebie tutaj, w tym dniu – już nie oczekiwania, już nie pragnienia następnych. Rezygnacja z czegoś tak bezcennego wymagałaby wielkiej siły woli, wiodąc do rozpacz ostatecznej – rozpacz bezdennej i gdyby ta nie dawała pociechy, że odejście jest rozwiązaniem, nawet jeśli tragicznym, cierpienie stawałoby się nie do zniesienia. Odchodzimy zatem, wybierając mniejsze zło, pogodzeni z własnym wyborem nie-życia, w którym jest ono mniejszym złem od cierpienia i rozpacz. Rezygnując z bezcennego, aby zbyć samych siebie od cierpienia nie do zniesienia. Jest to ułatwienie decyzji czy też zgody, a nawet jeśli budzi ono trwogę, to także szacunek i powagę. Umieramy przecież, umrze każdy z nas, a dobrze jest wiedzieć, że cierpienie może prowadzić do pogodzenia się z odejściem. Odszedł ten, który cierpiał nad miarę, on zrezygnował. On oswoił w sobie myśl o nie-życiu, on zatrzymał się.

Nie wiem, czy jest to dobra wykładnia. Być może jest pokrętna, być może mała. Ale każda będzie taka wobec bezmiernej wartości każdego dnia danego nam do przeżycia. Stojąc u progu Bożego Narodzenia – niosącego nową radość i nową nadzieję, stając zaraz potem naprzeciw Nowego Roku z kolejnymi dniami do przeżycia, mam życzenie, abyśmy tak spojrzeli na nadchodzące dni: każdy jeden z nich będzie dobry albo się w dobro obróci. Bo każdy z nich jest bezcenny.

WŁADYSŁAW ŁAZUKA

Choinka

Stoi
choinka stoi
żywica się w niej ścina
weseli dom jak może
światłami miga
Wśród nocnej ciszy stoi
zrzuca igły zielone
spogląda w las przez okno
i wie że nie powróci

Tak to los jej kruchy
z losem człowieczym się spleta
niosąc radość i smutek
po wszystkich ścieżkach świata
Stoi choinka stoi
listek po listku gubi
Opłatki śniegu za progiem
rozzdziela biały grudzień

O REWOLUCJI, EWOLUCJI I LOTACH W KOSMOS, CZYLI CIOŁKOWSKI I ŻUŁAWSKI STO I WIĘCEJ LAT TEMU

Rok 2017 to czas, na który przypada rocznica stulecia Rewolucji Październikowej. Dziś nie będzie ona obchodzona tak hucznie, jak kiedyś, nawet w samej Rosji. Jednak można sobie wyobrazić, jak świętowano by jubileusz, gdyby istniał Związek Radziecki... Jak ważnym wydarzeniem dla ówczesnego świata była sama rewolucja. Jakie niosła ze sobą przeobrażenia społeczne i jakie stanowiła novum światopoglądowe, ekonomiczne, polityczne i kulturowe w dziejach ludzkości. Po niej, jak po każdej rewolucji, zaczęły się wypaczenia, przyszli bolszewicy, wrócił Lenin, rozpoczęto nacjonalizację, zabito cara wraz z rodziną, zaczęto czystki, prześladowania, podboje innych narodów i masowe zesłania na Syberię, zaczął się terror i egzekucje... Powstało pierwsze na świecie państwo komunistyczne, w którym władzę (teoretycznie) sprawowali robotnicy (komisarze ludowi), było społeczeństwo bezklasowe (teoretycznie), oparte na demokracji ludowej, równości i sprawiedliwości społecznej (teoretycznie), gdzie wszystkim należało się wszystko za darmo według potrzeb itd. Było to zarazem pierwsze państwo ateistyczne, wolne od zabobonów i religii, a ukierunkowane na zdobycze naukowe, rozwój cywilizacyjny i technologiczny.

W tym epokowym duchu rewolucyjnej Rosji przyszło pisać Konstantemu Ciołkowskiemu swoją książkę „Poza Ziemią”, którą ukończył w 1907 r., już po nieudanej rewolucji lutowej w 1905 r. Słynny twórca rakiet kosmicznych i wizjoner kosmosu, naukowiec rosyjski polskiego pochodzenia (jego ojciec był zesłańcem), nie tylko przewidywał loty w kosmos, ale także – co może ciekawsze – snuł wizje rozwoju społeczeństwa w XXI wieku. Dokładnie opisał rok, w którym teraz żyjemy. Ciołkowski w swojej książce, której rozdział zatytułował „Ludzkość w 2017 roku”, uważał, że będzie to społeczeństwo egalitarne, bez wojen, praktycznie bez wojsk, żyjące szczęśliwie w pokoju i dobrobycie, korzystające z postępu i dobrodziejstw nauki i techniki. Ziemią rządzi ogólnoswiatowy kongres, coś na kształt dzisiejszej Organizacji Narodów Zjednoczonych. Oddajemy zatem głos autorowi:

Jaka była Ziemia w 2017 roku, w którym rozgrywa się akcja naszego opowiadania?

Cała Ziemia miała jedną władzę: kongres, złożony z przedstawicieli wszystkich państw. Istniał on już ponad siedemdziesiąt lat i rozstrzygał wszystkie problemy dotyczące ludzkości. Prowadzenie wojny było niemożliwe. Armie zostały bardzo ograniczone i były to właściwie armie pracy. Ludność, dzięki pomysłnym warunkom, potroiła się w ciągu ostatnich stu lat. Handel, technika, sztuka, rolnictwo osiągnęły znaczne sukcesy. Olbrzymie metalowe sterowce o tysiącach ton udźwigu rozwiązały problemy komunikacji i taniego transportu towarów.

Sz szczególnie przydatne okazały się największe okręty powietrzne, spławiające z wiatrem i prawie za darmo mniej cenne ładunki takie jak drewno, węgiel, metale itp. Aeroplany służyły do szybkiego przewożenia małych grup pasażerów lub drogocennych ładunków: najczęściej wykorzystywano jedno- lub dwuosobowe samoloty.

Ludzkość kroczyła pokojową drogą postępu. Jednakże szybki wzrost liczby mieszkańców wprawiał w zadumę wszystkich myślących ludzi i prawodawców.

Problemy technicznych możliwości podboju i wykorzystania pustyni Wszechświata próbowano rozwiązać już dawno – jeszcze w 1903 roku pewien rosyjski myśliciel napisał poważną pracę na ten temat i na podstawie ówczesnego stanu wiedzy matematycznie wykazał pełną możliwość zasiedlenia Systemu Słonecznego. Ale idee te zostały prawie zupełnie zapomniane i dopiero nasza grupa uczonych wskrzesiła je i częściowo zrealizowała¹⁾.

W związku z gwałtownym wzrostem populacji, naszej planecie groziło przeludnienie. Ludzie zmuszeni więc byli szukać możliwości do życia w przestrzeni kosmicznej. W tym celu 1 stycznia 2017 r. międzynarodowa grupa naukowców, gdzieś z okolic Himalajów, wystartowała statkiem kosmicznym na Księżyc, a potem na Marsa. Telegram o tym wydarzeniu dotarł na Ziemię 10 kwietnia 2017 r. Co działo się po tym triumfalnym wydarzeniu, Ciołkowski opisał następująco:

Poruszenie wśród ludzi było takie, jakby obwieszczono rychły koniec świata. Ale poruszenie było radosne. Jakież to perspektywy otwierały się przed ludzkością!

Każdy naród swobodnie władał językiem ogólnoludzkim, oprócz ojczystego. Wprowadzono jednolity alfabet i pewne ogólne prawa, zbliżające ludzi o najrozmaitszych cechach charakteru. Wiadomości o wydarzeniach światowych bez przeszkód docierały do najbardziej zapadłych zakątków Ziemi. Odkrycie dostępności pustyni Wszechświata było szczególnie radosne. Kogóż nie było wśród tych, którzy marzyli o osiedleniu się na wolności! Chorzy mieli nadzieję na poprawę zdrowia, starzy – na przedłużenie życia. (...) Otwierano szkoły w celu studiowania nieba i budowy pojazdów odrzutowych. Tym, którzy ukończyli kursy, wydawano dyplomy inżynierów kosmicznych. Budowano nowe fabryki, specjalnie do konstruowania pocisków odrzutowych. Kształcili się nowi technicy, robotnicy i majstrowie. Pracowano chwalebnie – i nie minął nawet rok, kiedy tysiąc pojazdów odrzutowych było gotowych do startu²⁾.

Tymczasem na naszym satelicie, na jego niewidzialnej stronie, uczeni odkrywają zwierzęta solarne, najczęściej zielone (też wiadomo, dlaczego ufoludki są tej barwy), ale też w innej kolorystyce. Z czasem wyprawiono się w okolice Marsa, ale będąc już w jego orbicie, zawrócono i zrezygnowano chwilowo z jego podboju. Jednak plany kolonizacji kosmosu wcielano w najlepsze, w grę wchodziły zwłaszcza Wenus i Merkury. Myślano o przetransportowaniu na inne planety niemal połowy ludzkości. Zainteresowanie zamieszkaniem w kosmosie wśród mieszkańców Ziemi rosło, ale towarzyszyły temu też głosy sceptyczne, a nawet całkiem przeciwne.

Spierano się, kogo wyznaczyć do roli pierwszych kolonistów. Połowa całej ludzkości (dwa miliardy ludzi) głośno wyraża gotowość, ale wielu myślało sobie w duchu: „Niechaj najpierw polecą ktoś inny, potem dopiero ja... Jeszcze zdążyć”.

Niecierpliwie wyczekiwali Słońca słabi, chorzy i starzy, chociaż trudno byłoby im znosić niektóre warunki nowego życia. Usilnie pragnęli spokoju, lekkości poruszeń i tropikalnego upału, ale wątpili nawet w samo istnienie środowiska pozbawionego ciężenia. Ubodzy zapalali się do idei porzucenia odzieży i sprzętów. (...)

Ustalono, że w koloniach pozaziemskich nie będzie się zabijać wyższych zwierząt. Prawdę mówiąc na Ziemi mięso tak-

że coraz bardziej wychodziło z użycia. Po pierwsze dlatego, że różnorodność pożywienia roślinnego i jego wartość bardzo się zwiększyła, a po drugie – w konsekwencji rozwoju światowego handlu owoce stały się dostępne dla wszystkich. Opory moralne, troska o ochronę przyrody i ograniczona niechęć do przelewu krwi sprawiły, że właściwie tylko ludzie chorzy mogli korzystać z mięsa.

Starzy i chorzy ofiarowali olbrzymie sumy, aby przyspieszyć przesiedlenie. Lekarze zapewniali ich, że nie ma lepszych warunków do zachowania i przedłużenia życia niż te, które istnieją w przestrzeni kosmicznej: wieczne słońce, stała i utrzymywana na pożądanym poziomie temperatura, zupełny spokój, brak kołder, łóżek, odzieży, ciśnienia i styczeńności z czymkolwiek³⁾.

Powieść Ciołkowskiego to z jednej strony typowa literatura science fiction (zresztą jedyna jego powieść fantastycznonaukowa), a z drugiej utopia, czyli wizja szczęśliwego społeczeństwa, które ma być umiejscowione jednak (sic!) poza Ziemią. Autor powieści mawiał bowiem: „Ziemia jest kolebką ludzkości, ale człowiek nie zostaje przecież całe życie w kolebce”.

Jego kreacjonizm i wizjonerstwo mogą zadziwiać. Napisał bowiem dzieło, w którym przewidywał loty w kosmos, lądowanie na Księżycu, budowę rakiet, statków kosmicznych, bolidów i sputników. Wykazał wielką wiedzę z zakresu nie tylko astronomii i astronautyki, ale też inżynierii kosmicznej, fizyki, biologii czy matematyki.

Warto przy okazji utopii zatrzymać się przy jeszcze jednym wizjonerze-Polaku z tego okresu, którego prognozy w pewnym stopniu także sprawdziły się, a inne jeszcze, być może, czekają na spełnienie. Mowa o Jerzym Żuławskim, autorze trylogii księżycowej – „Na srebrnym globie” (1903), „Zwycięzca” (1910) i „Stara Ziemia” (1911). Żuławski, podobnie jak Ciołkowski, przewidział podróż człowieka na Księżyc, bardzo drobiazgowo pod względem technicznym i kartograficznym opisywał lot na Księżyc i życie na nim; narodziny pierwszych dzieci selenonautów oraz ich egzystencję wśród Księżycan na przełomie XXIX i XXX stulecia. Arkadyjska wizja ludzkości w ostatniej części trylogii ukazuje ich pławienie się w luksusie i w technologicznym zbytku. Mieszkają w Stanach Zjednoczonych Europy, których stolicą jest... Warszawa. Zatem załazek dzisiejszej Unii Europejskiej Żuławski antycypował na przeszło 90 lat wcześniej, kiedy nie śniła się ona jeszcze jej twórcy Robertowi Schumanowi. Dziś wieszczącym koniec egzystencji ziemskiej i orędownikiem penetrowania kosmosu w celu poszukiwania bliźniaczych do Ziemi planet jest brytyjski astrofizyk Stephen Hawking, autor bestsellera „Krótka historia czasu”.

Patrząc na procreta Ciołkowskiego czy Żuławskiego, można się zastanawiać, jak precyzyjni byli oni w swoich przewidywaniach, jak trafnie oceniali kierunki rozwoju społecznego, cywilizacyjnego i technologicznego. A jak będzie wyglądał świat za kolejne choćby sto lat? Czy łatwo to sobie dziś wyobrazić, skoro rzeczywistość i wynalazki zmieniają się jak w kalejdoskopie... Można próbować fantazjować, nawet z przywróceniem oka, to przecież świetna zabawa i to zupełnie gratis. A jak będzie, przekonamy się już niebawem. Sto lat dla Ziemi to raptem okamgnienie.

1) K. Ciołkowski, *Poza Ziemią*, Warszawa 1979, s. 102-103.

2) *Ibidem*, s. 104-105.

3) *Ibidem*, s. 117-119.

Do prostego człowieka

Gdy znów do murów klajstrem świeżym
Przylepiać zaczną obwieszczenia,
Gdy do „ludności”, „do żołnierzy”
Na alarm czarny druk uderzy
I byle drab, i byle szczeniak
W odwieczne kłamstwo ich uwierzy,
Że trzeba iść i z armat walić,
Mordować, grabić, truć i palić;
Gdy zaczną na tysięczną modłę
Ojczyznę szarpać deklinacją
I ludzi kolorowym godłem,
I ludzi „historyczną racją”,
O piędzi, chwale i rubieży,
O ojcach, dziadach i sztandarach,
O bohaterach i ofiarach;
Gdy wyjdzie biskup, pastor, rabin
Pobłogosławić twój karabin,
Bo mu sam Pan Bóg szepnął z nieba,
Że za ojczyznę – bić się trzeba;
Kiedy rozścierwi się, rozchami
Wrzask liter pierwszych stron dzienników,
A stado dzikich bab – kwiatami
Obrzucać zaczną „żołnierzyków”.
– O, przyjacielu nieuczony,
Mój bliźni z tej czy innej ziemi!
Wiedz, że na trwogę biją w dzwony
Króle z panami brzuchatemi;
Wiedz, że to bujda, granda zwykła,
Gdy ci wołają: „Broń na ramię!”,
Że im gdzieś nafta z ziemi siłła
I obrodziła dolarami;
Że coś im w bankach nie sztytuje,
Że gdzieś zwęszyli kasy pełne
Lub upatrzyły tłuste suże
Cło jakieś grubsze na bawełnę.
Rznij karabinem w bruk ulicy!
Twoja jest krew, a ich jest nafta!
I od stolicy do stolicy
Zawołaj broniąc swej krwawicy:
„Bujać – to my, panowie szlachta!”.

Tym wierszem w konkursie recytacji i śpiewania poezji, z własną muzyką tytuł laureatki wyśpiewała **Katarzyna Mielnik**, uczestniczka warsztatów wokalnych Doroty Meyer w Młodzieżowym Domu Kultury. Konkurs odbył się 28 listopada w Klubie MCK „Jedynka”. Wśród laureatów znalazł się także poeta satyryk Ferdynand Głodzik i piosenkarka teatru „Terno” Agnieszka Bandziak.

MOI PRZODKOWIE

Jestem ostatni
 Jestem pierwszy
 Moi przodkowie kamienie wytaczają z dołów
 – Ja z cienia wytaczać mam słowa o cieniach –
 Cień szary jest zawsze
 Mogę go połączyć z szarością kamienia
 Moich przodków barwi tylko słońce
 Ręce szlifuje im żwir i węgiel
 – Do krwi lub do nerwów –
 Ich język jest szorstki
 Ich skóra jest gruba
 Mówią jakbyś drzewo darł wzdłuż słoju
 Albo ciął zdania w poprzek na wyrazy
 Albo koło dzielił na dzwona
 Gdy z turkotem toczy się po grudzie
 Oni nie wołali – Bij w imię Ojczyzny
 Imię to szlachetne Nie trzeba w nie bić
 Bić można w kamień łupiąc go na ćwierci
 Dlatego węgla jestem pobratymcem
 Drewna sojusznikiem
 Piewcą kamienia i sęka
 Twardość jest mi najbliższa



MOZAIKA

Dziś we mnie załśniło słowo ojcowizna
 – jako sygnał herbowy potarty przez pamięć –
 Łan ziemi uprawnej między parowami
 Na nich bratków krocie
 Grusza z diabłem w środku
 Cierpkie tarniny i głogi na stoku
 Tak we mnie powstawała geografia ojczyzn
 Żyzna Ziemia Kujawska
 Mazowieckie sąsiedztwo z równiną poety
 Małeńkie Pałuki
 Ziemia Wielkopolska
 Moja gorzowszczyzna w środku ognia z lasów
 Dziś kiedy stoję nad oka jeziorem
 – wśród igieł sosnowych nadnoteckiej puszczy –
 Gdy słowem wyrastam nad urwiskiem Warty
 – przy Santockim grodzie –
 Układam z zielonych refleksów
 Mozaikę mych ojczyzn

ZATOKA NERWÓW

Zatoka nerwów jest tam gdzie są kręgi
 Gdzie kostny horyzont
 Gdzie nigdy nie stają biegle neurony
 Gdzie myśl o człowieku w tętno się przemienia
 Zatoka nerwów to zatoka bólu
 Tam szczęki się kurczą
 Język słowa zgniata
 Człowiek się przeży jak mostowe przęsło
 Śmiech czas oblicza tykaniem chichotów
 Oczy po horyzont są pełne sufitu
 Tam ucisk nocy
 Tam tętno muzyki
 Dano nam zbadać przez dotknięcie skóry
 Tam neuryty mają swoją czułość
 Dziś znamy jej pory i porty
 Znamy kodeks wzruszeń
 Suchość ust znamy aż do gorzkiej soli
 I znamy krzyku rozpaczliwą nagość
 Gdy z nieba sinicę na wargi zbieramy
 W zatoce nerwów często kwitną zioła
 Źródło chłodem wyrasta
 Kamień z głodzi słynie
 Zatoka nerwów jest tam gdzie się żyje

NAD WARTĄ

Zawsze z sobą jedyni
 Jak w zatoce jeziora
 Wśród szumiącej zieleni wciąż kapali swą miłość
 I na łące w cień sutej
 Za kępami sitowia
 Oddychali do syta pokosami z kumaryn
 Byli zgodni w miłości
 Z kwiatem traw co ich pylił wiatrem i nadzieją
 Ona cicha jak w klasie – On jej szkolny kochanek
 – Mój ty mężu – mówiła –
 Wiem co znaczy być żoną
 Pragnę chodzić po skraju zieleni i ciszy
 Chcę być ptakiem-kobietą
 Wzlecieć z tobą gdyś Ikar
 Obierzyną chcę opaść, gdy polubisz ziemniaki

PIÓRKO

Może by dzisiaj piórko czapli opisać
 Tej co szaro brodzi tam, gdzie ryba bywa
 Na Eberswaldzko-Toruńskiej Nizinie

Popatrzcie jak ludzie nazwali ją łącznie
 Od dwóch miast przecie nie bardzo odległych
 Znanych z solenia i wędzenia ryb

Sądzicie może, że piórko snem moim
 Który wyprawilem na skrzydlatą podróż
 Znad toruńskiej katedry do klasztoru w Chorin

Piórka to słowa to są snów ubiory
 Co ciała stroją i w górę unoszą
 Nad wielkie wzniosłości po nośną codzienność

ZMOKNIĘTA TWARZ

Wywiało wszystkie metafory
 Ze skrzydeł ptaków i ze słońca
 Chodnik jest mokry aż do rdzenia
 Deszcz swoje krople z liści strąca
 Teraz poezja na deszcz wyszła
 By odczarować wiersz od lustra
 Wychlapać z kałuż gwiazd ogarki
 Cherlawych świadków płaskich wzruszeń
 Skryło się wszystko co jest suche
 Została jedna twarz na słocie
 Twarz uśmiechnięta jak podkowa

POWRÓT

Gdzie wiatr
 krokodyłom
 na zębach gra
 A błysk papuzi
 kolor rozwija

Flaming
 wiolinem
 wykręca szyję

Bocian żółtek
 przepłukał
 Nilem

I stare gniazdo
 na kole tka



Nasze piękne dziewczyny
 Ateistki w łóżku
 Do kart się modlą ustawiając pasjanse
 Horoskopy czytają zaschniętymi wargami
 (Będzie blondyn lub czarny albo ryży do powiek)
 Wróżą z kotów, zakonnice

Latem z liści akacji
 Wyglądają przez okna po swe szczęście na drodze
 Nawet tańczą dla szczęścia
 Nawet płaczą z nadzieją



– POEZJA MOJA POWSTAŁA Z CIERPIENIA
 I DO CIERPIĄCYCH JEST ADRESOWANA
 – POEZJA MOJA POWSTAŁA Z MYŚLENIA
 I DO MYŚLĄCYCH JEST ADRESOWANA
 – POEZJA MOJA POWSTAŁA ZE ZNOJU
 I DO ZNUŻONYCH JEST ADRESOWANA

Irena Zielińska
Gorzów

DWOJE NA ŚNIEGU

Tak szli
kruk – tupiąc z zimna
potykał się o biel
był ruchomą plamką czerni
im dalej brnął – tym głębiej w śnieg
a wyglądało to
jakby był nieśmiertelny

W tym krajobrazie z bieli
kruk
był jedynym oparciem dla oczu
człowiek – jedynym oparciem
dla czerni

Tak szli
nie znacząc odcisniętych stóp
ani tropów
które odrywały się od ziemi

Szli
jeden był plamką bieli
drugi – tropem czerni

Tak sobie szli

JAK W BAŚNI ANDERSENA

Już nieza długo
blisko już
tropy białych zwierząt
i tundrę mchów
pokryje puch opadły z piór
ptaka czasu
łagodnie położy się pod stopy
i jeszcze tylko
na chwilę
grająca oktawa
słonecznego blasku
i -----

Zima
nieruchomy przedwieczorny zmierzch
kiedy śnieg stanie się liliowy
kiedy wszystkie zwierzęta i ptaki
wyjdą na żer
a spadający z igieł drzew
suchy szron
jak zmija zasyczy

Zima
jak biegun północny

Wszyscy ten biegun zdobywamy
utrata ciepła
zagubieniem rękawiczek
obojętnością żrenic
na płomień zapalki

Adam Korzeniowski
Gościm

PRZECZUCIE

odkąd tylko pamiętam
wciąż wędruję do niej
spoglądam przez okno
rozpoznaję drzewa
ojczyzna to miejsce
gdzie nie jestem obcy
okno było w domu
którego już nie ma

teraz zrywam jabłka
sprawdzam jak smakują
mówią że najlepiej
smakują kradzione
ten kto sad posadził
musiał stąd uciekać
czyje to są jabłka
czy jego czy moje

na skraju pradoliny
w starym domu na wzgórzu
w dwustuletniej chacie
z ceglana podłogą
wydeptuję ścieżkę
po tych co odeszli
posadziłem drzewa
czy jestem tu sobą

drzewa można wyciąć
potem drewno spalić
dym z komina mroczne
budzi skojarzenia
ktoś podsycia ogień
idą z pochodniami
po co im pochodnie
wycinają drzewa

jak ci napisałem
wciąż do niej powracam
tratwą Ra z sitowia
przez morze tęsknoty
do ziemi obiecanej
do cienia pod lipą
do tych których kocham
chociaż już nie żyją

ojczyzna słygnęła z jabłek
i złotej jesieni
jabłka kwaśne w tym roku
jesieni nie było
odyseja się skończy
na jakimś cmentarzu
w pół drogi do miejsca
które się przyśniło

PRZEDMIOTY

spójrz
ile możemy
od nich się nauczyć
na przykład wierności
swemu powołaniu
od początku do końca
pozostają sobą
nie wahają się nigdy
czy być takim czy siakim
nie rachują po cichu
nie knują po nocach
nie analizują
co im się opłaci
wszystkich znoszą tak samo
i równie cierpliwie
można rzec
iż do granic swej wytrzymałości
a przy tym jeszcze
jakie powściągliwe
pełne dystansu do siebie
bez ziarenka pychy

niestety
w odróżnieniu od nas
nie czują tęsknoty
koszula po zmarłym
jeśli nawet rwie się
to nie na cmentarz
ani też z rozpaczy
anioł odlany z brązu
skradziony z cmentarza
sam się nie wyrwie
z twardych rąk złodzieja
i nie wróci po to
by czuć nad grobem

czasem
choć bardzo rzadko
to im się przytrafia
bywają złośliwe
niekiedy do bólu
ale nie z zawiści
lub by nam dokuczyć
ta złośliwość raczej
to jak krzyk rozpaczy
ich jedyny sposób
by zwrócić uwagę
że choć są gotowe
do śmierci nam służyć
zdają się być przez nas
niezauważane

JOLANTA KARASIŃSKA
Barlinek

W autobusie do Gorzowa

Przeraża mnie ogrom miejsc, które muszę wypełniać
dźwiganie spraw z precyzją biegnącego światła
zniecieruchomiałam do ostatniego nerwu
lecz próbuję włączyć przycisk – POMOC!
Niepokoi mnie rozchyłony dach nad głową
bezkres otchłani i to, że nie mogę zaiskrzyć.
Dużo tego nazbierało się w trzewiach.
Jeszcze miotam się i próbuję walczyć o siebie
o miejsca z wczorajszymi barwami lata.
Moje ciało nie waży nic!
To serce tak cięży.
Z czasem pewnie rozsypię się jak piasek
po nieznanach drogach, zduszona w drobiny
czasu.
Wczorajszy siniak boli bardziej niż guz
Którego nie potrafię ukryć.
Nie dodaje mi urody.
Zbiłam lustro.

SZCZĘŚCIE

Jak pachnie szczęście?
Powiedz.
Moje pachnie świętami
imbirem, cynamonem
świeżą choinką czasami.

Twoim oddechem pachnie
co nocą wyraźniej słyhać
i pięknym twoim głosem
co drzeniem duszy dotyka.

Często pachnie spokojem
świecy figlarnym płomieniem
i słodkim wieczorem we dwoje
ukrytym w sercu marzeniem.

Pod powiekami pachnie
kiedy oczy przymykam
słuchając cichej kolędy
razem z zegarem, co tyka.

Najczęściej pachnie rodziną
ubraną odświętnie przy stole.
Te wszystkie zapachy szczęścia
zbieram z wielkim mozołem.

Najpiękniej pachnie
...po prostu
A mnie się wtedy wydaje
że tobą pachnie najmocniej
i w sercu
we mnie zostajesz.

Dwie I nagrody Barlinka za wiersz
kategoria powyżej 18 lat
w Konkursie Literackim o Łabędzie Pióro
im. Romany Kaszczyk

Wioletta Kinal

MODLITWA

dokładnie zaplanowałeś unerwienie trawy
i to
że jest zielone
czerwony kolor zarezerwowałeś
dla róży
dlatego stworzyłeś miłość
która uwiera
zapobiegłeś stanom depresyjnym żaby
w ostatniej chwili wymyśliłeś jej bajeczną przemianę
do każdego kota dodałeś psa
żeby nauczyć
jak z wroga zrobić przyjaciela
w instrukcji obsługi dnia zaplanowałeś położenie
słońca
tak
jak trzeba
noc rozświetliłeś spadającymi gwiazdami
dla niedowiarków
żeby uwierzyli w marzenia
nie przewidziałeś tylko jednego
że dzieło szóstego dnia
chce wszystko zmieniać

Michał Mayer

SZTYLET

Jechali samochodem, kręta droga przez las była
pełna liści, na zakrętach
czerwieniły się wnętrzości zabitych zwierząt,
bezpiecznych kotów, porzuconych
psów, zajęcy, które tak często dają się łapać w snopy
reflektorów. Grało radio, spiker odczytywał
wiadomości, coś o wypadku na oceanie,
o huraganie, który zniszczył miasto. Oni milczeli,
nawet zapomnieli zdjąć rękawiczki,
choć ogrzewanie dawało z siebie wszystko. Kiedyś
było inaczej, ale potem pękł talerz miłości, szklanka
przywiązania roztrzaskała się o codzienność.
Chwyтали się papierosów, na których składali
zachłanne pocałunki, wypełniali się dymem jak
naczynia do przechowywania trucizny. Patrzyli na
przejechane zwierzęta i myśleli o naturze życia,
o podstępach które wysypywały się z niego
jak z kapelusza magika. Ona wyjęła z torebki
szminkę, przyłożyła do ust ten czerwony sztylet. On
zaciśnął mocniej ręce na kierownicy, złożył śmiertel-
ny uścisk na jej skórzanym ciele. Gdy przejeżdżali
obok saren stojących na polanie,
oboje się uśmiechnęli, ale osobno,
potem spojrzeli na siebie przerażeni, świadomi,
że piękno było tylko na zewnątrz,
w chłodnym przestronnym lesie.



Irku,

Parafrazując Marka Twaina, mogę powiedzieć, że wszelkie pogłoski o moim zniknięciu i zamilknięciu były przedwczesne i przesadzone. Owszem, literacko milczałem, ale nie dlatego, że – jak to się dzieje z niektórymi emerytami – zająłem się przyciskaniem guzików na pilocie TV. Jestem zajęty do tego stopnia, że nie wiem, za co mam się brać najpierw, a co zostawić na potem. Z większych dokonań: napisałem i wydałem bardzo ważną (chyba najważniejszą) dla mnie pracę naukową, którą nosiłem w sobie kilka dziesiątek lat – poszła w świat i to dosłownie; powstała też książka-album o przyrodniczej tematyce. Poza tym trochę szwendalem się po świecie: a to Spitsbergen, a to ponownie Alaska, a to jeszcze inne interesujące zakątki, a do każdej wyprawy trzeba się przygotować pod wieloma względami. Na miejscu, w tym moim Drezdenku, też mam co robić, szczególnie ostatnio.

Zaczął mi jednak znowu doskwierać brak literackiej aktywności. Już wiem, co większego chcę posiać i – mam nadzieję – zebrać na tym polu. Na razie przesyłam Ci dwie próbki, ale „z innej beczki”, do oceny i odpowiedzi na pytanie: czy nie wyszedłem zbyt daleko wprawdy? Pierwsza to recenzja lub coś w tym rodzaju. Drugą trudno mi jest nazwać, bo jest to nawiązanie do moich niegdysiejszych listów („Na niebie, na ziemi”), a jednocześnie jest to list do konkretnego adresata – do Ciebie.

*Pozdrawiam i Ciebie i Krysę
z wyrazami szacunku – Ludwik*

List z Ameryki, czyli déjà vu na opak

Drogi Irku,
powoli zbliża się ku końcowi moja kolejna kilkumiesięczna wódcza po północnej Ameryce. Tym razem jest to Alaska i Kanada. W diariuszu podróży najwięcej miejsca zajmują, jak zwykle, opisy przyrody, co jest oczywiste, zważywszy na mą profesję. Są tam także notatki ze spotkań z potomkami pierwotnych mieszkańców tych ziem. Ponadto, a może przede wszystkim docieram do miejsc, w których szukam śladów krajobrazów, jakie wryły się w pamięć przed wieloma dziesiątkami lat, gdy chłonałem niemalże jednym tchem książki J.O. Curwooda, J.F. Coopera i J. Londona. Realizuję swoje niegdysiejsze dziecięce marzenia, które jeśli nawet rodziły się wtedy w wyobraźni, to bardzo nieśmiało, i były raczej mrzonkami. W jednych miejscach korzę się przed ogromem i majestatem przyrody. Innym razem początkowo nie dostrzegam tego codziennego, przydrożnego drobiazgu, który dopiero na powiększonym zdjęciu ukazuje swoją wielką wartość, piękno i niezbędność obecności. Niby nic odkrywczego, bo przecież całe nasze życie tak biegnie.

Po powrocie do domu będę, jak za każdym razem, odbywał podróż ponownie, przeglądając zapiski i porządkując tysiące zdjęć. Zapewne zatrzymam się na dłużej przy obrazach miejsc, w których – czy to za sprawą zmęczenia, czy może mniejszej zawartości tlenu w powietrzu – spotkało mnie coś, co kłóci się z logicznym myśleniem, wyrobionym latami parania się naukowymi badaniami. Nie mówię o nich nikomu, bo trudno jest opowiadać, gdy u słuchacza spodziewać się można co najwyżej grymasu powątpiewania. Ty jesteś pierwszym, któremu próbuję to jakoś zrelacjonować.

Podczas wypraw przytrafiło mi się to kilka razy, a ostatnio wczoraj, gdy z trudem dotarliśmy do przedwiecznego kręgu Medicine Wheel ułożonego z płaskich białawych kamieni, położonego na wysokości ponad 3 km ponad poziom morza w górach Bighorn. Do tego tajemniczego miejsca, do dziś uznawanego za święte, Indianie pielgrzymowali jeszcze w czasach przedkolumbijskich, żeby się modlić, składać ofiary i poszukiwać wizji. To, co mnie właśnie tam spotkało, opiszę Ci innym razem, bo najpierw muszę jakoś się z tym oswoić, poukładać na odpowiednich półkach w głowie i spróbować znaleźć w miarę sensowne wyjaśnienie. „W czym, zatem, rzecz?” – zapytasz. Ano w tym, że oprócz doznań związanych z Medicine Wheel pamięć przywołała zdarzenie z poprzedniej wyprawy. Zdarzenia, które chyba świadomie, uważając je za zbyt absurdałne, aby było prawdziwe, próbowałem zepchnąć gdzieś w sferę zapomnienia. Teraz, niczym film dokumentalny, wyświetliło się z najdrobniejszymi szczegółami.

Tamtą wyprawę odbyłem w prawie dwa lata po ukończeniu pracy nad „Zachodem słońca”. Książka została wydana, poszła między ludzi, a ja z ulgą zająłem się przygotowaniem do podróży i gromadzeniem pomysłów na następne flirty z Kaliopie.

Jesteś literatem i wiesz dobrze, że książkowe postaci z ich fizycznymi i psychicznymi cechami bywają portretami realnie istniejących ludzi, w mniejszym lub większym stopniu przyprawionymi wytworami wyobraźni autora. Ale mogą też powstawać ze zmieszanego w różnych proporcjach tworzywa, wśród którego niewiele jest zebranego ze znajomych, a dominuje to, co autor nazmysłał. Rzecz w tym, aby postać literacka miała swoje indywidualne cechy, żeby była wiarygodna – po prostu: trzeba ją nakreślić tak, aby czytelnik odnosił wrażenie, że opisujesz człowieka „z krwi i kości”. Główni bohaterowie „Zachodu słońca” to Paweł i Zuzanna. On, jak zapewne pamiętasz, był Polakiem, ale mieszkał głównie we Francji, gdzie zwracano się do niego per Paul. Ona – Polka, aktorka. Zanim zacząłem pisanie, a też i w trakcie pracy nad książką, rysowałem w wyobraźni sylwetki obojga, musiałem niemalże widzieć ich twarze, mimiki, grymasy, ich sposób poruszania się, zachowania w różnych sytuacjach et cetera. Po prostu musieli stać się, przynajmniej na okres pisania książki, moimi bardzo dobrymi znajomymi. Podczas wyprawy jednak, wszystko co było związane z już wydaną książką, przestało mnie zajmować.

W tamto popołudnie, zmęczony kilkugodzinną wędrówką po zakątkach doliny Yosemite w Górach Sierra Nevada, podziwianiem i fotografowaniem krajobrazów i roślin, odpoczywałem, siedząc w cieniu na ławeczce przed punktem informacji turystycznej. Tu umówiłem się z Lucjanem, moim bratem i towarzyszem podróży zarazem, który gdzieś tam jeszcze uganiał się z kamerą. W przesuwanym się w różne strony wielojęzycznym tłumie turystów zwróciła moją uwagę ta kobieta.

„Skądś ją znam, ale skąd?” – zadźwięczało mi w głowie pytanie. – Ta sylwetka, te ruchy, twarz... Właśnie, twarz też. Może spotkałem ją na trasie dzisiaj lub w którymś z poprzednich dni? No, nie – to musi być jakaś wcześniejsza znajomość”. Kobieta przysiadła na sąsiedniej ławce i uważnie rozejrzała wokół. Gdy i po mnie, tak mi się przynajmniej zdawało, przesuwała swój wzrok, nieznacznie uśmiechnąłem się – może mnie pozna. Jednak żadnej reakcji z jej strony. „Kurczę, kto to jest? Ktoś z Polski?”. Kilka razy zdarzyło mi, że gdzieś daleko od kraju, ktoś, kogo widziałem nie więcej niż dwa-trzy razy w życiu, witał mnie z radością: „O! Cześć stary. Co tam słychać w Drezdenku (albo w Gorzowie), bo nie byłem tam już dwa tygodnie”. Na ten moment stawali się bardzo dobrymi znajomymi. Z tym kimś zapewne wcześniej tylko mijaliśmy się na ulicy. Ale teraz mój uśmiech pozostał bez odzewu. „Po-

Zdjęcia

dejsć? Zapytać, czy i skąd się znamy?”. Głupio, bo reakcja może być różna i niekoniecznie sympatyczna, tym bardziej że obok niej usiedli przed chwilą jacyś przygodni turyści – chyba Japończycy. „Może to aktorka, którą widziałem w którymś filmie?”. Ten domysł wydał mi się na tyle prawdopodobnym, że uspokoiłem się i nie próbowałem już spoglądać w tamtą stronę. Przez następnych kilkanaście minut pograżałem się w porządkowaniu dzisiejszych notatek, chociaż co jakiś czas myśli powracały do nieznamomej-znajomej z sąsiedniej ławki. Nadal tam siedziała.

Poderwał mnie głos: „Paul! Paul, je suis là!”. Podniosła się z ławki. Jedną ręką już zarzucała na ramię torbę, drugą machała do kogoś. Powędrowałem za jej wzrokiem. A tam w naszym, a właściwie jej kierunku szedł... Paweł – Paweł z „Zachodu słońca”! Paweł, jakiego moja wyobraźnia знаła z okresu jeszcze sprzed jego choroby i łagowskiej traumy. Takiego, jakim go wymyśliłem, gdy opisywałem ich wspólne wakacje w Borach – ta nieco pochylona, szczupła sylwetka, długie szpakowate włosy spięte z tyłu w kiték i twarz. Twarz Pawła. A ona? Przecież to Zuzanna! Taka, jaką stworzyłem sobie w wyobraźni, i jaką opisywałem. Musiał pojawić się sobowtór literackiego Pawła, żebym uświadomił sobie, skąd znam tę kobietę. Nie wiem, nie dosłyszałem, co do niej mówił. Zdziwiłbym się jednak, gdyby nazywał ją inaczej niż „Susan”...

Poszli, ja natomiast nie mogłem dojść do siebie, bo i to, że Paweł, że Zuzanna, i że francuski język... Po dwóch-trzech minutach swoistego otępienia zacząłem gorączkowo zbierać myśli: co powinienem zrobić? Biegnąć za nimi? I co? Powiedzieć, że są bohaterami mojej powieści, że właśnie takich ich stworzyłem i opisałem? Gdybym chociaż miał książkę – dałbym ją im. Uniosłem się z ławki i z głową przez cały czas wypełnioną kłębowiskiem myśli i pomysłów odprowadzałem ich wzrokiem, a oni już odeszli na skraj placu. Byli o jakieś sto, może sto pięćdziesiąt metrów ode mnie... Eureka! Zrobię im zdjęcie, chociaż z daleka, niby to fotografując jakiś fragment krajobrazu. Nie więcej niż minutę zajęło mi wyjęcie z plecaka aparatu, zamiana obiektywu na teleobiektyw i zebranie swoich rzeczy. Już ich nie widziałem, ale szybkim krokiem ruszyłem w kierunku, w którym oni się udali. Za zakrętem był rozległy parking. Wśród wsiadających do samochodów lub wysiadających nie dostrzegłem tych dwojga. Do bramy wyjazdowej po przeciwległej stronie podjeżdżało kilka pojazdów. Zajrzałem w jeszcze kilka miejsc. Tam też ich nie było – zatem, pojechali, niestety.

Wróciłem. Miejsce, gdzie przedtem siedziałem, było już zajęte, ale na sąsiedniej ławce wciąż siedzieli ci sami, co przedtem Japończycy, jej miejsce było wolne.

„Co to było?” – zadawałem sobie pytanie. Przecież nie zdrzemałem się. Aparat nadal z założonym teleobiektywem, a z reguły od razu zmieniam obiektyw po wykonaniu zdjęć z jego użyciem, a zresztą, dzisiaj nie używałem go. W notatniku są poprawki, które nanosiłem, siedząc tutaj wraz z zapiskiem na ostatniej stronie: „Kim ona jest?”. Zmęczenie? Zwidy? – no nie, moje klepki w głowie są nadal na swoim miejscu. W końcu uznałem, że jest to zbyt absurdalne, aby było prawdziwym. Ale przecież było! Owszem, znać kogoś, a potem go opisać – to jest zrozumiałe. Ale na odwrót? To tak jakby déjà vu na opak.

Rozsądek nakazał mi zepchnąć to zdarzenie gdzieś w niepamięć. I prawie to się udało – aż do wczoraj, kiedy tam wysoko w górach, doznania w tajemniczym Medicine Whell obudziły w mojej pamięci to zdarzenie sprzed czterech lat.

Pozdrawiam Cię z daleka, gdzie obok miejsc pięknych i zadziwiających ogromem są też pełne dziwnych zdarzeń, skojarzeń i zadumy.

Ludwik

Góry Bighorn w st. Wyoming, w sierpniu 2017 r.



HANNA SZCZĘSNA

Pobożność

Moja pobożność
to szukanie Boga
w strzępie chmury
odbitej w kałuży
śladach łap kocich
zapisanych na śniegu
w ciepłym mruczeniu wieczornym
nawet
w garnku z zupą pomidorową
Idąc drogą w wełnianej czapce
trafiam do Boga
w sam środek kałuży
brudnym kaloszem.

Spotkanie

Dwie dziewczynki starszki
siwe koleżanki z dzieciństwa
w szpitalnej bieli
drobne ciała w za dużych koszulach
życie sączy się
przez plastikową rurkę
dla siebie mają długie warkoczki
jasne sukienki
furkoczące na wietrze
chichoczą
biegną z górki trzymając się za ręce
coraz szybciej
aż głośno szurają kaptcie
na wyślizganej podłodze

* * *

Cuda się dzieją
nie te wielkie
w świetle reflektorów
cuda codzienne
na wyciągnięcie ręki
cuda – niecodzienne
czasem zmęczone
znudzone
przetarte od częstego używania
dzieją się cuda
rano – gwizdzący czajnik
zapach kawy
mrużący kot
sąsiad za płotem
jabłka w koszyku
kubek gazeta pies
jeszcze cuda cuda cuda
Dzieją się

* * *

Jacy zdziwieni
oglądamy się za siebie
że tyle miało być
a to już przeszło
nie uporaliśmy się jeszcze
z własną dorosłością
a tu już dzieci dorosłe
dom zbudowany
drzewo wysokie
co z tego że wiatr rozwiewa włosy
i głowa otwarta na nowe
gdy już nie pędzimy do przodu
nie stajemy na palcach
żeby zobaczyć co przed nami
ciągle zdziwieni
siedzimy nad czystą kartką
w nowy rok
i nerwowo ściskamy ołówek

* * *

Sprzątam siebie
odkurzam pokoje
przestawiam meble
ściany maluję jasnymi farbami
sprzątam siebie
wyrzucam
niedokończone rozmowy
niedospałe noce
nienapisane listy
zmieniam zasłony nastrojów
powoli i dokładnie
sprzątam siebie
już jest lepiej
mówię głośniej
patrzę ludziom w oczy
jeszcze tylko otworzę okna
wpuszczę więcej światła

* * *

Myślę
kim jest Bóg
tłem do krajobrazu
wydechem po wdechu
głosem dla mówiącego
drzewem dla ptaka
bielą dla czerni
i czym jeszcze
nie wiem
a Bóg mówi
jestem cały
w twoim „nie wiem”

* * *

Tort czasu dzielę
na coraz mniejsze części
żeby wystarczyło
na życie
na wszystko
tort czasu
wydawał się taki duży
myślałam – wystarczy
i jeszcze zostanie w zapasie
a tu tyle jeszcze do zrobienia
tyle do podziału
a został
niewielki kawałek



Hanna Szczęsna

urodziła się 6 III 1963 roku w Świebodzinie. Tu ukończyła Liceum Ogólnokształcące, następnie studiowała pedagogikę kulturalno-oświatową w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze oraz podyplomowo: logopedię, neurologopedię i pedagogikę specjalną w Szczecinie, Wrocławiu i Warszawie. W trakcie studiów działała w teatrze studenckim, grała niewielkie role w Lubuskim Teatrze w Zielonej Górze (1983-84) i w Ośrodku Twórczości Teatralnej, współpracując w Zielonej Górze z prezentacją teatrów alternatywnych. Działała w ruchu esperanto, także w organizacji festiwalu teatrów esperanckich Verda Monto. Została lektorem języka esperanto, brała udział w międzynarodowych seminariach i kongresach esperanckich, prowadziła kursy językowe.

Pracowała m.in. w Wojewódzkim Młodzieżowym Domu Kultury w Zielonej Górze, w Sądzie Rejonowym w Żarach, aktualnie (od 2002 roku) pracuje jako logopeda w Poradni Psychologiczno-Pedagogicznej w Świebodzinie.

*

Przystać na to, że czas się kurczy i znika jak kawałki urodzinowego tortu; uładzić się ze światem, w którym nie ma wiele miejsca na marzenia; zachować dar zdziwienia i szczyptę szaleństwa – tak można by streścić poetyckie przesłanie Hanny Szczęsnej. W jej wierszach dojrzałość spojrzenia spotyka się z dojrzałością słowa, które bez patosu celebrytuje zwyczajność i przekonuje, że „cuda codzienności” dzieją się tuż obok, „na wyciągnięcie ręki”.

[Z recenzji prof. dr hab. Małgorzaty Mikołajczak, Uniwersytet Zielonogórski, „Pro Libris”]

MICHAŁ BANASZAK



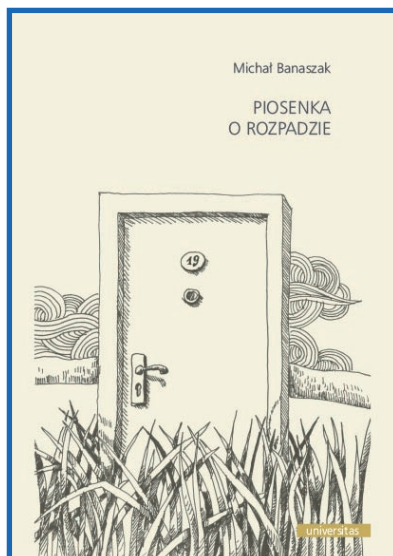
Michał Banaszak urodził się w 1988 r. w Zielonej Górze. Pracuje w zielonogórskim sądzie. Z wykształcenia prawnik i filolog angielski, obecnie doktorant na kierunku literaturoznawstwo. Tomik „Piosenka o rozpadzie” to jego książkowy debiut poetycki, wydany jako nagroda w konkursie im. Anny Świrszczyńskiej w Krakowie. Kolejne jego wiersze ukazały się w „Toposie” oraz „Pro Libris”.

„Piosenka na pierwszy miesiąc” zdobyła wyróżnienie w tegorocznym konkursie o Złote Łubańskie Pióro.

Piosenka o rozpadzie

Kiedyś osoba w całości,
osoba kompletna,
jak to mogło nastąpić,
że rozpadł się na
maszynę do pisania,
garnitur na trzy guziki,
stary czarny aparat,
dwie duże popielniczki,
dwie pary okularów,
pudełko z pinezkami,
stary projektor kinowy w garażu,
zegarek marki Atlantic,
grzebień z plastiku,
czerwony szlafrok,
pożółkłe kartki z zeszytu,
togę adwokacką,

w połowie pełne marlboro czerwone,
kolekcję filmowych gazet,
swoją biurową pieczętkę,
mały pędzel do twarzy,
łańcuszek z krzyżykiem,
plakat z Cybulskim,
plakat z Milesem Davisem,
szarozielony budzik,
przestarzałą komórkę,
stojaki na płyty CD
i skórzaną aktówkę,
którą kładł pod schodami,
wracając wieczorami
w powszednie dni.



Piosenka na pierwszy miesiąc

Co ci powiedzieć, gdy się urodzisz,
ktoś cię ponagrywa przy użyciu płaskiego
telefonu, ile kosztuje butelka wody,
w okularach typu panto ładnie kobietom.

Co ci powiedzieć, nowe istnienie,
zobaczysz, jakie nietrwałe bodźce,
twojej rozpoczętej obecności w świecie
nie da się zamknąć (jeśli zechcesz spróbować) w formie

żadnej ze sztuk. W jednym z krajów
Europy Wschodniej, ze wszystkimi konsekwencjami,
doceń chociaż rozległość krajobrazów,
szalest (słyszysz?) mowy, której tu używamy.

Nie ma wojny przecież. To znaczy jest, za granicą,
nie myśl o tym. Da ci wygodę technika.
Choć nowe zabawki i meble szybko się zniszczą,
i twoje przedmioty, i twoja matka, i ja.

Jest wszechświat, ale go zwiedzą inni
po tobie, je się dużo suplementów diety,
jeździmy skodą, niektórzy są religijni,
nie ma dowodów, jesteś śmiertelna/śmiertelny.

Co ci powiedzieć, ta pani to właśnie
starość, sam na sam z jamnikiem. Po co,
w końcu spytasz. Już przygotowane
mleko w proszku i butelki stoją gotowe obok.

Portret

Karykaturzysta nie osiągnął podobieństwa:
nie pomaga ta lekkość, ta pogodna
twarz z półprofilu, mocny nacisk węgla;
zupełnie inaczej go należało malować.
Tylko jeden portret zawiera odzwierciedlenie
jego twarzy, i jest to portret Sebastiana
de Morry, który widzę, myśląc o niej obecnie,
i o nieistniejącym portrecie, który by ukazał
to wszystko: gest sztywnego napięcia dłoni,
gdy pokazywał coś palcem, półmłynek, który kręcił
tym palcem podczas rozmów, pozbawiony swobody
krok niemal niesterowalnej marionetki –
brak rytmu, pewności, jakby wprawiono
mu cudze kończyny; albo jak popukiwał
opuszkami dłoni o nogę, kołysząc lekko głową,
na dźwięk trąbki, perkusji i pianina
(dla mnie to było aleatorycznym jazgotem);
zapach kawy i teczek, błękitne spirale
dymu zza głowy, znad ręki z papierosem,
gdy gładził włosy na skroni w swoim gabinecie, latem;
jego głos, ostatnio chyba nieco bardziej chrypliwy,
zapach mocnych drzewnych perfum, suchej skóry
tam, gdzie nosił zawsze swój srebrny krzyżyk,
pomarszczonej pod rozpiętym guzikiem koszuli;
jego wybuchy śmiechu w towarzystwie;
wyglądanie banknotów podczas zakupów;
wgniatanie kolejnych niedopałków w popielniczkę;
sposób, w jaki to robił; tempo tych ruchów.



Okno

Gdy otworzyłem oczy, było ciemnowo na dworze. Niebo szare, matowe, zaciągnięte płaską warstwą chmur. Jesienne. Nie takie, jak czasami bywa, co mnie natychmiast podnosi do życia, a więc na horyzoncie pełne światła w wielu odmianach, w smugach soczystych barw czerwieni bądź delikatnego seledynu, jak to jest na włoskich obrazach. Wtedy tuż po przebudzeniu dobrze się sprawdza, czy i jak istnieje świat. Istniał. Ruszał się za oknem. Dostrzegłem. Na gałązkach migotały w prawo i w lewo pojedyncze listeczki, seledynowe, wypłowiałe, żółte i słabo pomarańczowe, jaśminu. Taka chwila przemijająca.

Słowa

Słowa potrafią dokonywać bardzo wiele. Również cuda. Nasza cywilizacja urosła ze słów. Teraz wielkie znaczenie, czyli udział w jej kształtowaniu, mają obrazy. Słowa jednak są ważne. Także są jak wirusy – złe, niszczące lub dobre, które pomagają przetrwać i wytrwać wśród wielu wewnętrznych i zewnętrznych kłopotów. Złe słowa (szczególnie te niesprawiedliwe) jak złe wirusy zatruwają (namnażają się), że mogą nawet przyprowadzić człowieka do choroby, która go będzie trawić i wyniszczać, jeśli ich od siebie nie oddechnie. Niektórzy jednak nie biorą tego pod uwagę. I słowami zadają ciosy.

Skupienie

Podczas tworzenia trzeba mieć w sobie twórczą ciszę. Być w jakimś spokoju, nastroju, być wyłączonym, co pomaga przyjmować myśli i obrazy, skojarzenia i pokonywać opory, jakie stawia materia słów. Nie może być mowy, by ktoś otwierał drzwi do pokoju, zaglądał zza pleców na kartkę i o coś dopytywał. Świętemu czasowi tworzenia potrzebne jest skupienie. Pisarze więc zamykają się w swoich pracowniach. Bywa, że na wiele godzin.

Pośmiertnie

Ostatnio ku swemu zdziwieniu i zdumieniu konstatuję, że pojawiła się dziwna u nas moda dostrzegania zasług pisarzy pośmiertnie. Leży sobie taki umarły albo gdzieś fruwa w zaświatach i dowiaduje się, że żyjący koledzy i urzędnicy wpadli na świetlany pomysł wręczenia mu w dowód uznania i podziękowania szampowego dyplomu oprawionego w karton za jego twórczość, czyli za setki godzin gratisowo spędzonych nad kartkami maszynopisów i przed komputerem. No i jak ma taki szczęśliwiec zaświatowy to odebrać? Mógłbym wymieniać nazwiska, lecz nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że pisarzowi nic się nie należy za życia. Jego życiowe wydatki są nieistotne, jeśli np. jest głodny, choruje lub źiebnie w mieszkaniu, to jego prywatna sprawa. Owszem publikować może, póki co, wyłącznie gratisowo. Świadczenie takiej pracy jeszcze jest tolerowane. No tak – już słyszę – mamy Nagrodę Wawrzynu Literackiego, w wysokości niepełnych dwóch średnich krajowych miesięcznych wynagrodzeń. Ręce opadają.

Ciemność

Teraz spojrzalem w okno. I ciemność. Czy istnieje świat? Sprawdzić naocznie trudno. Krótki dzień, szybko robi się wieczór. Pomaga mi tylko światło lampy w jakichś zajęciach. Za kilka miesięcy to się zmieni.

Marek Bucholski

PODRÓŻE DUKTAMI HISTORII

(fragment rozdziału „Mity, legendy, baśnie... jak prawdziwe”)

Spacerując po Rzymie, przypominały mi się przeróżne opowieści związane z tym miastem. Te opowieści to mity, legendy, baśnie istniejące w świadomości ludzi od lat, a nawet od wieków, które niewiele lub nic nie mają wspólnego z rzeczywistością, lecz za to mają się nadzwyczaj dobrze. Ale to nie jest tylko specjalnością Rzymu. Tak jest na całym świecie. Ludziska coś wymyślą z określonej potrzeby, z reguły, by poskromić zło, jeśli nie samemu, to przez jakąś siłę nadprzyrodzoną, która zawsze stoi po stronie „naszej”, a później ów wymysł już się toczy swoim torem, nabierając „życia i prawdziwości”.

Mit jest opowiadaniem o bogach i istotach nadprzyrodzonych, bajka jest formą alegoryczną z morałem, a jej odmiana – baśń posiada przewagę pierwiastków fantastycznych, cudownych, czarodziejskich nad ludzkimi z realnego świata. Są to dokładnie te same pierwiastki, jakie występują w religiach, ale nie wchodzą do kanonu wierzeń. Legendy z kolei to opowiadania o postaciach albo wydarzeniach historycznych lub uważanych za historyczne. W każdym razie jak zwał, tak zwał, owe „mityczne legendy z baśniowego świata” żyją swoim życiem. I Rzym ma ich mnóstwo.

A dzisiejszy człowiek, niemal plastikowy produkt własnej cywilizacji, nie ma czasu na jakiegokolwiek weryfikację tych legendarnych „prawd”, które mu serwują „biegli” w urabianiu ludzkich dusz i przekonań. I człowiek ten, jeśli nawet zacznie myśleć przez chwilę samodzielnie, to za drugą chwilę pomyśli, że może tak było, może nie było, a ja muszę zarobić, by przetrwać, wykarmić rodzinę, a tak w ogóle, to co mnie to...

Weźmy taki amerykański Dziki Zachód. Tenże właśnie Dziki Zachód, dzięki westernom, jawi się nam jako kraina krwią płynąca, gdzie przestępca siedział na przestępcy i przestępcą poganiał. Wreszcie za sprawę wzięli się naukowcy i udowodnili, że tzw. Dziki Zachód, w porównaniu z „cywilizowanym” Wschodem USA, był krainą spokoju i przestrzegania prawa.

Ludzie chcieli budować nowy świat, żyć w spokoju, szeryfowie mieli wielką władzę i pospolity przestępca nie miał szans na szerokie działanie. Solidarność wśród osadników była ogromna i wysokie było morale wspomagane prawdziwie przez religię.

Co innego na Wschodzie, gdzie ludzie żyli stłoczeni w rozrastających się miastach, które gwarantowały anonimowość, a i organa ścigania bardziej dbały o swój byt niż przejmowały się przestępczością. Proporcjonalna ilość przestępstw popełnionych na Wschodzie była nieporównywalnie większa w stosunku do ilości przestępstw na Zachodzie. O liczbach bezwzględnych lepiej nie mówić. Te ustalenia amerykańskie opublikowane zostały stosunkowo niedawno i co? Nie mają żadnej szansy, by przebić mur złowieszczonego mitu-kitu, jaki nam wcisnięto o „dzikim” Dzikim Zachodzie.

To samo dotyczy wampirów. Do czasu kinematografii były to spokojne istoty, często pomagające ludziom. Aż nastały filmy. I kto ten mit o krwiożerczych bestiach obali?

Legenda o obronie Jasnej Góry podczas potopu szwedzkiego jest tylko legendą, ale też ma się dobrze, chociaż nijak ma się do prawdy historycznej. Przeor jasnogórski uznał zwierzchność króla Szwecji Karola X Gustawa (tak, jak np. późniejszy król Polski Jan III Sobieski) – ostatecznie Szwed Karol Gustaw na tronie czy Szwed Jan Kazimierz na tronie, to co ojczulkowi za różnica? Ale nie chciał oddać klasztoru i skarbów, na których siedział. Niech se Karol króluje, lecz od skarbów łapy won!

Walki pod klasztorem były niemrawe (zginęło raptem 16 osób, z tego cztery po stronie klasztornej), bo klasztor nie miał żadnego znaczenia strategicznego. Był na drodze, to chciano go zająć. I tyle. Szwedzcy dowódcy mieli pod swymi rozkazami raptem 2,5 tysiąca żołnierzy niemieckich i prawie tysiąc jazdy polskiej. To wszystko. Klasztoru nawet nie szturmowano, jeno z armat ostrzeliwano. Z kolei klasztor był znakomicie do oblężenia przygotowaną twierdzą. Kościół trzymał tam naprawdę spore skarby. A że lasy był zawsze na dobra materialne, to i wiedział, jak je chronić. Jeden więc chciał kiesę wyrwać, drugi nie chciał jej oddać. Ależ nowość!

Stworzono jednak legendę i przez te kilkaset lat owa „legendarna obrona” utrwała kult Czarnej Madonny, co to niby klasztor obroniła. Powiedzenie „obrona Częstochowy” weszła na trwałe do naszego języka jako symbol może nieco rozpaczliwej, ale zawziętej i skutecznej obrony. Ale wtedy na pewno nie była to obrona rozpaczliwa.

Na naszych oczach wyrasta legenda np. o strasznej cenzurze w PRL. Nie znam sytuacji w czasach stalinowskich, gdyż byłem dzieckiem, ani później, natomiast od przełomu lat 70. i 80. XX wieku do końca istnienia tej instytucji miałem z nią, jako dziennikarz, także dyżurujący z ramienia redakcji w drukarni, do czynienia.

Cenzorami byli przeważnie ludzie o bardzo skromnej wiedzy, często nijakiej, z reguły były to jakieś partyjne „spady”, zesłani działacze lokalni rządzącej partii. Mieli pilnować, by nic złego nie pisać o Związku Radzieckim, o partii komunistycznej jako całości (o sekretarzach lokalnych można było), o Kościele i księżach, bo krytyka Kościoła była zastrzeżona dla ścisłej centrali.

Cenzorzy robili „ptaszki” przy „nieprawomyślnych” akapitach, grzecznie przekonywali, by inaczej to ująć. Można było iść na udry, ale po co? Było wiele sposobów, by przemycić określone treści. Kto chciał, ten to robił. A wielu cenzorów udawało, że tego nie widzi. Czy pochwalam cenzurę? Absolutnie nie. Durnowata instytucja świadcząca tylko o słabości tych, których niby chroni.

Ale z tego, co obserwuję, już niedługo dzieci w szkołach będą się uczyć o „krwawej” cenzurze, która z nożem w zębach i krwią na rękach wręcz dusiła w PRL jakąkolwiek wolność wypowiedzi. Za to dziś, w tzw. wolnej Polsce, nie wiem, czy jest lepiej. Nie ma formalnej instytucji cenzury, ale jest cenzura dysponenta politycznego, właściciela, tego który płaci. I ważna jest „moja”, czyli jego prawda. Za to w Kościele cenzura była, jest i będzie. Na wieki wieków, póki ta instytucja w takiej formie istnieje i funkcjonuje.

Ale wróćmy do Rzymu, gdzie legend, mitów i wszelkich baśni jest od groma. Choćby legenda o tym, że w katakumbach ukrywali się przed prześladowaniami pierwsi chrześcijanie. A tymczasem jest to wymysł z IX wieku.

Katakumby były znane przed chrześcijaństwem i były to wyrobiska po wydobytych skałach. Z czasem stały się podziemnymi cmentarzami etruskimi, rzymskimi, żydowskimi czy starochrześcijańskimi. Nikt się tam nie ukrywał. Poza tym tzw. pierwsi chrześcijanie na terenie Rzymu długo czcili także bogów dawnych religii rzymskich i to pokojowe współistnienie trwało. Oczywiście, że były prześladowania chrześcijan, ale bez przesady z ich ogromem. Ludzie zawsze się prześladowali o to czy o tamto. Taka ludzka natura.

Inna legenda głosi jakoby w Koloseum masowo mordowano chrześcijan, m.in. rzucając ich na pożarcie lwom. Kompletna bzdura. To z kolei wymysł z XVII wieku, gdy Kościołowi znów potrzebna była „krwawa” legenda i ją stworzył. W Koloseum były walki gladiatorów, bitwy „morskie”, polowania na zwierzęta, bo ludziska bez krwi obejść się nie potrafią. A w przerwach wykonywano egzekucje na przestępcach. I nie dlatego, że byli chrześcijanami.

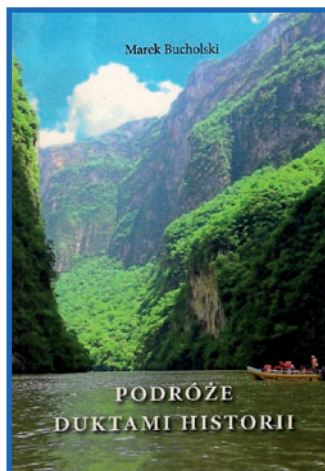
A tak na marginesie, to od 2012 roku rozpoczął się remont Koloseum i jest szansa, że zostanie mu przywrócony starożytny wygląd. Koloseum było piękne. To nie bajka, to prawda. Dziś jest już w środku piękny amfiteatr i odbywają się w nim koncerty (...).

Od Autora:

... Dlaczego książka ma w tytule „dukty”, a nie np. drogi czy aleje? Otóż, patrząc na historię świata, ale tę „ludzka”, stworzoną przez człowieka, doszedłem do wniosku, że chodzimy po tym świecie nie alejami, a nawet nie w miarę przyzwoitymi drogami, ale tłuczemy się prymitywnymi duktami, bo inaczej, mimo wspaniałych haseł, nie umiemy. W książce pokazałem tylko fragmenty z historii świata, także urywki z historii odwiedzanych miejsc. Wszędzie i zawsze krew, przemoc, walka o władzę.

Użyty na stronie tytułowej aforyzm znakomitego, wspaniałego znawcy historii antycznej prof. Aleksandra Krawczuka („Historia świata to suma jego schorzeń psychicznych i szaleństw”), jestem przekonany, nie dotyczy tylko historii starożytnej. Bo i czymże mamy się różnić od „starożytnych”? Choćby dzisiaj, w końcu 2017 roku, gdy regularna armia de facto wyznaniowego państwa buddyjskiego urządza rzeź na narodzie Rohingya w Mjanmie tylko dlatego, że Rohingya są muzulmanami. A na czele rządu Mjanmy stoi laureatka pokojowej nagrody Nobla Aung San Suu Kyi. I tak jest zawsze, gdy do władzy dochodzą religijni fanatycy albo inne oszołomstwo. Zostaje mi tylko zacytować Talmud (Sanhedryn 46): „Świat został wydany w ręce głupców”. Niestety, oni rządzą. W zasadzie od zawsze.

Marek Bucholski



Europa w głąb i wszędy

Państwo Ewa i Marek Bucholscy z Gorzowa podróżują po całym świecie. Ewa wymyśla trasy, razem jadą, a po powrocie Marek opisuje podróż. Wydał już pięć tomów swoich opowieści, a niedawno podarował mi szósty z tytułem „Podróże duktami historii”.

Zazwyczaj państwo Bucholscy penetrowali odległe światy Ameryki Południowej, Afryki, dalekiej Azji. Ostatnio z inspiracji Ewy popłynęli wielkim turystycznym statkiem po Morzu Śródziemnym z postojami w Genui, Rzymie, Palermo, na Malcie, w Barcelonie i Marsylii. Byli w miastach, gdzie powstawała kultura Europy.

Opowieść o każdym z odwiedzanych krajów Marek Bucholski wzbogaca o rozliczne refleksje, zderzając swoje myślenie Europejczyka z tym, co zobaczył i poznał podczas podróży. I rzadko wychodzi mu, że jesteśmy lepsi.

Podróż po Europie nie mogła budzić tego typu komentarzy i pewnie dlatego tym razem autor zajął się historią odwiedzanych miejsc. Ale nie tą powszechnie znaną, a wydobywaną z tekstów źródłowych, z najnowszych badań historyków, bardzo często z nowego odczytywania przeszłości. Autor dysponuje ogromną wiedzą, a świat starożytny chyba już nie ma przed nim tajemnic.

Książka zrodzona z podróży typowym statkiem turystycznym pokazała mi, że trzeba wracać do przeszłości, by lepiej zrozumieć współczesność.

Stałem pod Łukiem Konstantyna w Rzymie – pisze Marek – zbudowanym tuż przy Koloseum i patrzyłem na tę budowlę, na uwiecznioną w kamieniu chwałę cesarza, który zalegał zował chrześcijaństwo, współdecydował, jakie ewangelie mają przejść do kanonu nowej religii, zwolnił Kościół od podatków, ustanowił w dniu 25 grudnia Boże Narodzenie, wprowadził niedzielę jako dzień wolny, czyli pozostawił po sobie trwałe ślady w kulturze europejskiej. Na następnych stronach autor pasjonująco opowiada o tym, jak to Konstantyn zmieniał świat, co mu się udało, a co nie, jakim był człowiekiem, kogo kochał itd. Świetnie, błyskotliwie opowiedziany kawałek ważnej historii. I zakończenie tego rozdziału: *Czas iść dalej. Popatrzyłem na Łuk Konstantyna i na tłum tak zwanych turystów, który przelewał się obok. Nawet się nie zatrzymywali, rzadko kto spoglądał na budowlę. Zajęci byli lizaniem lodów, piciem różnych cieczy, stukaniem paluchami w telefony i robieniem sobie zdjęć na tle.*

Obserwacja Europy Zachodniej jest dla autora okazją do refleksji na temat odmienności z naszym, wschodnim, a przede wszystkim długo socjalistycznym światem. I nie potępia go bez zastanowienia. Raczej zastanawia go, jak niesprawiedliwe są wszelkie uogólnienia teraz głoszone nagminnie.

Podczas drugiej opisanej w tym tomie podróży do Meksyku państwo Bucholscy oglądali to, co Europa tam zaniósła. Przemierzyli cztery tysiące kilometrów w porze deszczowej, aby im inni turyści nie przeszkadzali. Przejechali Meksyk od Pacyfiku do Atlantyku. Marek znów pasjonująco to opisał. Za dużo tam wrażeń, aby je streścić w krótkim omówieniu książki. Polecam więc najnowszą, czyli „Podróże duktami historii”, a także wszystkie wcześniejsze: „Podróże dość dalekie”, „Podróże na koniec świata”, „Podróże do miejsc czarnych”, „Podróże ku barwom świata” i „Podróże do krain niezwykłych”.

Marek Bucholski, „Podróże duktami historii”, Gorzów Wlkp. 2017, 406 s.



Przedstawienia w theatrum mundi

Na okładce nowego tomu wierszy Marka Piechockiego portret autora namalowany przez jego brata Juliusza. Marek w dzinsowej koszuli, z szalem na ramionach, długimi białymi włosami, tyle że w błazeńskiej czapce. W takiej jak Stańczyk, z czterema wysokimi rogami i z kutasikiem, ale nie czerwonej, a zielono-żółtej i bez dzwoneczków. W polskiej tradycji Stańczyk to błazen, który mówi gorzką prawdę, symbol narodowych win i wyrzutów. Ten z okładki nie ma narodowego zadęcia, a bliższy jest zwykłemu człowiekowi.

Tom wierszy „Przedstawienia” składa się z dwóch odmiennych części. Do pierwszej weszły napisane całkiem niedawno, a daty wprowadzone przez autora świadczą o erupcji poetyckiej weny: 9 stycznia 2017 roku, 13 stycznia, dwa wiersze z 15 stycznia, kolejne niewiele późniejsze. Wyobrażam sobie: na dworze mróz i śnieg, a Marek siedzi w ciepłym domu i czyta książki lub serfuje po internecie. Bo prawie wszystkie wiersze mają korzenie w lekturach poetów lub w przegłądaniu internetowych stron. Trochę tu odległych podróży, ale więcej refleksji o przemijaniu, o interpretacji zdarzeń, o tęsknotach, o smutku. Autor świadomie wprowadza nawet dość długie cytaty z wierszy Miłosa, Różewicza, Cohena, by podkreślić bliskość jego widzenia z tym, co wcześniej napisali inni. Są też wiersze z wiosny i lata, gdy już nie książki, a przyroda stają się inspiracją do refleksji. Ostatni wiersz ma datę 12 sierpnia 2017 roku. Wiersz o świadomym odejściu w samotność, o rozczerowaniu światem. Ta część to intelektualny pamiętnik poety. Smutny.

Druga część ma tytuł „Odejścia” i składa się z zaledwie sześciu utworów. Pięć z nich jest poświęconych matce, a ostatni ojcu. Są też ich wizerunki: autoportret matki oraz rysunek ołówkiem twarzy ojca wykonany przez Juliusza Piechockiego. Matka braci Piechockich zmarła niedawno, wiersze są pożegnaniem z nią. Ostatni tekst pod tytułem „Nasz tata” to krótką opowieść prozą. O milczącym ojcu, który nie zdążył, a pewnie także nie widział potrzeby opowiadania chłopcom o swoim życiu. Przed wojną był kowalem, później to zajęcie traktował jako hobby. W pamięci syna pozostał jako mistrz skuwania „dwóch kawałków metalu przy pomocy młotka i ognia z kowalskiego paleniska”. Ma po nim kilka młotków i obcegi. Mało, bardzo mało. Ale przecież jest jeszcze pamięć syna, który w słowie zachował tego milczącego ojca.

W moim odczuciu „Przedstawienia” nie mają wspólnego mianownika, ale każdy tekst jest formą swoistego theatrum mundi. Autor przygląda się światu z głębokim smutkiem, ale bez prześmiewania. Bo Marek Piechocki jest smutną wersją Stańczyka.

Marek Piechocki, „Przedstawienia”, Gorzów Wlkp. 2017, wyd. autora, 34 s.

PAPUSZA – NAJSZERZEJ ZNANA GORZOWIANKA

W 30. rocznicę śmierci Papuszy, 8 lutego 2017 r., odbyła się w naszym archiwum konferencja poświęcona poetce, a niedawno ukazała książka pod tytułem „Bronisława Wajs – Papusza – biografia i dziedzictwo”. Podczas konferencji tematem głównym było życie tej najszerszej znanej gorzowianki. Do książki jej redaktor – także inicjator konferencji Dariusz Rymar – zaprosił także autorów piszących o jej twórczości i o legendarnym pamiętniku.

*

Najważniejszym dorobkiem konferencji było ustalenie daty i miejsca urodzenia Papuszy. W różnych źródłach pojawiają się lata od 1906 do 1910 roku i tylko Lublin jako miejsce urodzenia. Nawet wnikliwy badacz życia i twórczości Papuszy, Jerzy Ficowski, nie umiał ustalić tych podstawowych danych. Ogólnie uznano, że nie da się wykazać kiedy i gdzie urodziło się cygańskie dziecko. Ale tak pisali filologowie. Gdy za problem zabrał się historyk, datę i miejsce określił bardzo szybko. Tym historykiem jest Dariusz Rymar. Bardzo mu w tym pomogły dokumenty przekazane niedawno z gorzowskiego Urzędu Miasta do archiwum. W ankiecie dotyczącej wystawienia dowodu osobistego w 1952 roku znajduje się odpis metryki chrztu Papuszy, z którego wynika, że urodziła się 17 sierpnia 1908 roku w Sitańcu, wsi sąsiadującej z Zamościem. Teraz zaczęli z sobą rozmawiać archiwiści. Na prośbę dyrektora naszego archiwum pracownicy archiwum w Zamościu szybko odszukali odpowiedni wpis. Jest. Pod numerem 180 znajduje się sporządzona po rosyjsku metryka chrztu Bronisławy Zielińskiej. Dziecko urodziło się o piątej rano 17 sierpnia 1908 roku, a o czwartej po południu do kościoła przynieśli je spokrewnieni Cyganie. Czy dziecko było chore, że je tak szybko ochrzczono? A może tabor ruszał w dalszą drogę? Tego pewnie nigdy nie ustalimy.

Dariusz Rymar prezentuje w książce wszystkie dokumenty związane z Papuszą będące w zasobach archiwum w formie fotograficznej i w tekstowym omówieniu.

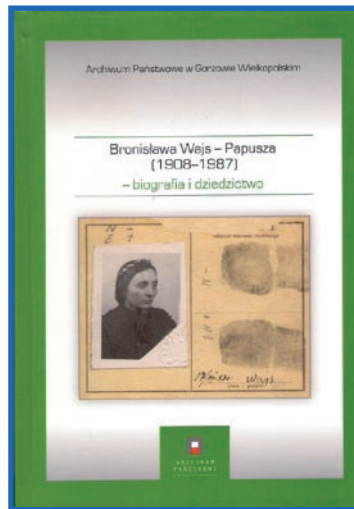
*

W części drugiej o efektach badań nad osobą i twórczością poetki piszą: Piotr J. Krzyżanowski i Krzysztof Wasilewski – „Papusza – od napiętnowanej do bohaterki”, Mirosława Szott – „Pomyłka Papuszy. O jednym wierszu cygańskiej poetki” (chodzi o wiersz „Piosenka”), Magdalena Machowska – „Pamiętnik Bronisławy Wajs-Papuszy. Perspektywy badawcze”.

Część trzecia książki dotyczy spuścizny poetki w zasobach bibliotek polskich i zagranicznych. Tu artykuły Grażyny Koskiewicz-Górskiej i Danuty Zielińskiej oraz Katarzyny Łuszcz. Zaś część czwarta, najobszerniejsza, zatytułowana „Spotkania z Papuszą – wspomnienia, fascynacje, inspiracje” obejmuje wystąpienia mieszkańców Gorzowa przedstawione podczas sesji, które wyróżniają się temperaturą osobistych wspomnień. Są też opowieści o związkach z wierszami, a mój artykuł dotyczy okoliczności powstawania pierwszej gorzowskiej książki o Papuszy, która – moim zdaniem – jest także pierwszą wydaną w Gorzowie książką bez ograniczeń cenzury, w opracowaniu komputerowym i w nowej technice druku offsetowego.

*

Zwracam szczególną uwagę na ciekawy artykuł autorki z Krakowa Magdaleny Machowskiej o pamiętniku Papuszy, od dość dawna owianym legendą, bo niedostępnym. Nasza biblioteka posiada skany jego stron, ale ta forma dla badaczy również jest ułomna. Dotąd pamiętnik nie był właściwie odczytany ani



opisany. Zdaniem badaczki (autorka książki „Bronisława Wajs-Papusza. Między biografiami a legendą”) jest to dokument ważny jako pierwszy pamiętnik polskich Cyganów. Dla Cyganów zawsze najważniejsza była ustna opowieść przekazywana z pokolenia na pokolenie. Papusza pierwsza odważyła się zapisać swoją opowieść. Jej narracja wpisuje się w stadium pośrednie między wypowiedzią oralną a życiorysem. Ona nazywała go dziennikiem życia, a więc bez ambicji ujęcia całościowego.

To Jerzy Ficowski nazwał te zapiski pamiętnikiem, co inaczej go lokuje w świadomości odbiorców. Tematycznie treść pamiętnika – jak formułuje Machowska – „rozpięta jest na dwóch przenikających się planach: osobistych relacji Papuszy z mężczyznami, z którymi była bliżej związana, oraz historii choroby umysłowej poetki, która w różnych odsłonach i natężeniu obecna była w jej życiu”. Zdaniem Magdaleny Machowskiej pamiętnik pisany był w latach 1949-1951, ale trzeba ustalić, na jakim to było etapie przeżyć i choroby Papuszy. W gorzowskiej bibliotece są skany ok. 200 stron, w tym 184 ponumerowanych i 26 bez paginacji. Tekst jest pisany po polsku, ale także duże fragmenty po romsku.

Mimo zabiegów WiMBP w Gorzowie, która jest prawną właścicielką pamiętnika, jego oryginał pozostaje w dyspozycji Stowarzyszenia Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej. Prezes Edward Dębicki zapewnia, że jest bezpieczny, bo zdeponowany w skrytce bankowej. Odmawia udostępnienia go nawet do celów badawczych.

*

W książce dużo ilustracji, zdjęć, dokumentów, wycinków prasowych, w tym udostępnionych po raz pierwszy lub zagrzebanych w trudnych do dotarcia zbiorach. Wyraźnie odczuwa się, że książkę przygotowali archiwiści przywiązujący dużą wagę do tego rodzaju dokumentów.

Na okładce kartka z kartoteki dowodów osobistych Papuszy z jej zdjęciem, odciskami palców i podpisem. Data: 17 IV 1953 r. Do tej pory takie zdjęcie Papuszy nie było znane.

*

Otrzymaliśmy cenną książkę o najbardziej znanej gorzowiance napisaną przez historyków, pamiętnikarzy, regionalistów. Podobnie wnikliwą analizę, ale samej twórczości Papuszy, winni przeprowadzić literaturoznawcy, szczególnie badacze literatury ludowej. Czekam na to.

„Bronisława Wajs – Papusza – biografia i dziedzictwo”, praca zbiorowa pod red. Dariusza A. Rymara, wyd. Archiwum Państwowe w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2017, 304 s.

ŻYCIOPISANIE KRYSTYNY WOŹNIAK

W ramach XXXV Interdyscyplinarnych Warsztatów Artystycznych w pałacu „Magnat” w Garbiczu miał miejsce wieczór autorski Krystyny Woźniak. Autorka prezentowała swój nowy tom poetycki pt. „Życiopsis”.

Zanim powiem kilka słów o tym tomiku, muszę zacząć od czegoś innego. Otóż nie spotkałem się dotychczas z aż tak skrupulatnie wyreżyserowanym spotkaniem i jego oprawą. Wszystko było perfekcyjnie przygotowane. Na wielkim ekranie pokazywały się obrazy współgrające z wierszami; kompozycja całości była perfekcyjna. Wszystko na scenie komponowało się z aurą perfekcyjnie towarzyszącą tym wierszom.

Krystynie towarzyszyła Marzena Szumlańska-Śron, pochodząca z Gorzowa wspaniała piosenkarka mieszkająca w Niemczech. Jej śpiewanie i recytowanie jest fascynujące i wielce ubogaciło ten wieczór.

Oczywiście Krystyna wiodła tu prym jako autorka. Przeczytała sporo wierszy z nowego tomiku, wchodząc w osobliwy, empatyczny ton tych wierszy. Więc teraz pora, by o nich coś powiedzieć.

Ich „akcja” dzieje się w aurze biduła (czyli domu opieki nad dziećmi pozbawionymi rodzin czy dachu nad głową). Tam bieda i trauma, która ścisła gardło. Te dzieci być może niewiele z tego wszystkiego rozumieją, ale Krystyna „wchodzi w ich skórę”, wychwytuje ich zagubienie, ich ból, ich „sytuację egzystencjalną”. Mówi ich bólem i ich językiem. Powtarzam: żal ścisła gardło!

Dla przykładu wiersz pt. „Tu każda chwila potrzebuje światła”: *Zagubiłaś się, / a przecież to ty uczyłaś mnie naszego adresu na pamięć. / Śnieg i mróz utuliły mnie w śmietniku. / To stąd zabrali mnie do domu dziecka, / obcięli włosy, paznokcie. / Mam tu swoje łóżko przy oknie, / co noc modlę się do medalika na szyi. / Dzisiaj pogryzłam Ankę – mówiła nieładnie o tobie. // Wkrótce gwiazdka, będzie Mikołaj, / ale ja wciąż czekam na ciebie // Mamo.*

Są w tych wierszach sceny bardziej gorzkie. Ścisnące serce, łapiące za gardło. W prozie znaleźlibyśmy więcej takich wątków i zapisów, jednak nic nie wiem o innym tomiku, który byłby – jak „Życiopsis” Krystyny – aż tak dalece i przejmująco. Owszem, moglibyśmy tu przypomnieć np. wiersz Marii Konopnickiej „W piwnicznej izbie” i sporo innych, jednak to, co opowiedziała Krystyna, chyba staje od teraz na czele tej bolesnej tematyki.

Marzena Szumlańska-Śron wspomagała Krystynę. Wyszedł z tego spektakl. Ponury, acz piękny. Wyszło poniekąd widowisko... W sumie ten wieczór autorski był bolesny, lecz nie umiem znaleźć słów na jego aurę, wagę i empatię.

Leszek Żuliński

Krystyna Woźniak, „Życiopsis”, wyd. Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, Gorzów Wlkp. 2017, 72 s.

KRYSTYNA WOŹNIAK

W kamienicy na Pradze

Pod siódmką niezły bigos.
Zdzichu leje swoją babę, krzyk na całej klatce,
podobno puściła się.

Gdyby choć kasę przyniosła,
dałoby się zrozumieć, a tak same straty.
Telewizor krzyczy prognozą pogody.
Ma być ciepło i bezwietrznie.
Sąsiadka z naprzeciwka w pijackim amoku
pobiła swoją córeczkę.
Na podwórku marczą się koty,
ta szara pręży się i kusi amantów.
Staruszka z parteru wyprowadza swojego męża,
wózek pamięta jeszcze czasy komunizmu.
Poprawia mu czapkę, głaszcze po dłoniach,
jest czuła jak przed pięćdziesięciu laty.

Jutro mają się wprowadzić nowi lokatorzy.
Szczyry ze śmietnikowej wyrwy
wysyłają zwiadowcę.

Kapliczka z figurką Matki Chrystusa
stoi na swoim miejscu od przed wojny.

Moja babcia miała na imię Paulina

Nosiła bluzki w białe groszki,
wykrochmalone kołnierzyki.

Włosy podpiniała rogowymi grzebykami,
wtedy było widać jej łagodne spojrzenie.
Mówiła, że kobieta to przede wszystkim matka.

Wiktorię do domu dziecka zabrali z warszawskiej meliny,
gdzie stawiała pierwsze kroki pomiędzy wyschniętymi
butelkami.

Polubiła ciocię Basię, to u niej przesiaduje na kolanach.
Dziewczynka pod batystową sukienką skrywa blizny.
Ma niedosłuch.

Wczoraj laryngolog wyjął z jej ucha zasuszonego prusaka.

Zbyszka znaleziono na śmietniku.
Dziś ma osiemnaście lat, właśnie się usamodzielił.
Jest twardzielem, przynajmniej za takiego się uważa.
Nie myślał o założeniu rodziny,
przecież całe życie jest państwowym.

Na nowojorskich obrzeżach płoną garaże.
Strażacy obserwują kotkę, przynosi swoje potomstwo w
bezpieczne miejsce.

Poranione zwierzę zawieźli do weterynarza.
Lekarz walczy o jej życie.

Nigdy nie odzyska wzroku.
Świat okrzyknął ją symbolem macierzyństwa.

A ona tylko ratowała swoje dzieci.

GORZKIE PRAWDY ŁUCJI FICE

Za kryształowym lustrem jest lepszy świat. Świat ludzi żyjących w dostatku, w ładnej scenerii, wygodnie, bez kłopotów. Świat tylko w części dostępny nam, ludziom żyjącym w Polsce, na Słowacji, Ukrainie.

Na szczęście w tamtym wspaniałym świecie ciągle jeszcze istnieje starość, choroba, śmierć i wtedy my jesteśmy ludziom z tamtego świata potrzebni. Do ciężkiej pracy, do całodobowej opieki nad osobą chorą. Najczęściej śmiertelnie chorą.

*

Bardzo dużo Polek znalazło pracę na Zachodzie jako opiekunki osób starszych i chorych. Gorzowianka Łucja Fice najpierw pracowała w tym charakterze w Anglii, potem przez kilka lat w Niemczech. Swoje angielskie doświadczenia opisała w książkach „Przeznaczenie” i „Wyspa starców”, a teraz przekazuje to, co ją spotkało w Niemczech, w powieści „Za kryształowym lustrem”. To nie jest pamiętnik ani reportaż, opowieść jest utrzymana w trzeciej osobie liczby pojedynczej, ale książka nigdy by nie powstała bez pracy autorki za zachodnią granicą w takim właśnie charakterze.

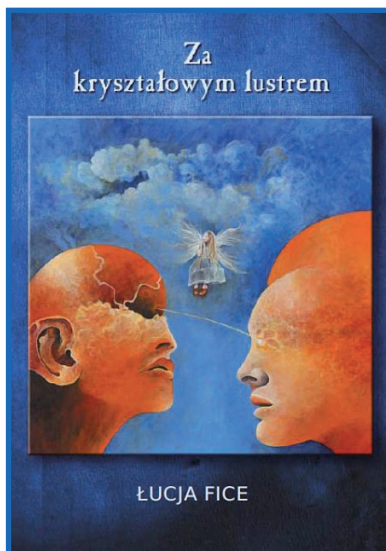
*

Główna bohaterka, kobieta krótko przed emeryturą, nie chce na stałe mieszkać w Niemczech. Jest Polką, ma męża w Gorzowie, swój dom, do którego tęskni z każdego innego miejsca. Najpierw nie mogła znaleźć w Polsce pracy, więc zdecydowała się na wyjazd. W końcu powieści już ma emeryturę, mogłaby spokojnie żyć, ale ona wie, że za te pieniądze nie osiągnie takiego poziomu życia, jaki mają niemieccy emeryci. Więc póki może, póki starcza jej sił, przyjmuje kolejne zlecenie i jedzie.

Na zapotrzebowanie na polskie opiekunki osoby operatywne odpowiedziały agencje oferujące taką pracę, z zapewnieniem polskim kobietom odpowiednich warunków. Mnie zaskoczyła opisana w powieści sieć agencji, ukształtowane formy dowozu, możliwości odwołania itp. Tu nie ma liczb, ale jeśli w jednej małej miejscowości w Bawarii pracuje sześć Polek, świadczy to o skali zjawiska.

*

Praca przy osobie chorej trwa przez całą dobę, obejmuje rozmaite czynności, a odbywa się w czterech ścianach prywatnego domu, bez niczyjej kontroli. Można trafić znakomicie, co też było udziałem bohaterki powieści: rodzina odnosi się do opiekunki z pełnym szacunkiem, zapewnia dobre warunki mieszkania i wyżywienia, określa czas wolny itp. Ale znacznie częściej zdarza się, że gdy opiekunka wykona czynności przy chorym, musi zrobić inne prace porządkowe w domu lub w ogrodzie. Do tego ludzie starsi i chorzy są niecierpliwi, często złośliwi, a tylko opiekunka jest pod ręką... Żeby te złośliwości dotykały ją tylko ze strony chorego! Często jeszcze gorsza jest współmałżonka, a nawet dzieci. Dochodzą do tego kłopoty z komunikacją. Jeśli nawet Polka zna niemiecki w stopniu komunikatywnym, to nie



rozumie języka lokalnego, słów zniekształconych starczą wymową itp.

*

Jak sobie radzić w takich sytuacjach? Główna bohaterka powieści – Gabriela – znalazła sposób w ukształtowanej samodzielnie filozofii, którą wywiodła z połączenia religii z prawami fizyki. Przyznam, że te dywagacje budziły moje największe opory. Autorka mnie nie przekonała do swojego sposobu myślenia. Bardziej rozumiem inne Polki, które tak dobrze sobie nie radzą.

Łucja Fice pokazała galerię opiekunek, co jest dużą wartością książki, bo nadaje jej aspekt społeczny. Polki są przede wszystkim zmęczone taką pracą, wyjąłowane myślowo i duchowo, nierzadko popadają w pijaństwo, bo ono znieczula. Ale czują

się odpowiedzialne za swoje rodziny pozostawione w Polsce, więc jadą jeszcze raz, i jeszcze.

Ostatnie zdanie książki: „Gabi znowu myśli o wyjeździe na nowy kontrakt. Tym razem do Włoch”. We Włoszech przyroda jeszcze ładniejsza niż w Niemczech, cieplej, ale czy pomyślała o ludziach? O języku?

Muszę Gabrieli życzyć szczęścia. Może kolejne doświadczenia przyniosą nową powieść?

*

Łucja Fice odkryła nową dla literatury tematykę, naturalnie wynikającą z nowych zajęć Polek. W dwóch pierwszych powieściach pokazała, jak funkcjonuje system opieki nad ludźmi starszymi w Anglii, teraz trochę dowiadujemy się o Niemczech. Trochę, bo opiekunki rozsiane po prywatnych domach funkcjonują poza systemem państwowym, opłacane są przez rodziny, najczęściej przez dobrze sytuowane dzieci. Ważne, że je na to stać. Państwo zapewnia pomoc medyczną i pielęgnarską, także leki i środki opatrunkowe, ale widać to za mało, bo prywatna pomoc jest niezbędna. A może jest w tym element wygody, bo zatrudniając opiekunkę, zleceniodawca pozbywa się kłopotów?

*

Razem z Gabrysią przebywamy w siedmiu niemieckich domach, poznajemy kilka pokoleń rodziny, najczęściej niemieckich, warunki życia, standard, codzienne zajęcia. Łucja Fice jest bardzo krytyczna w stosunku do Niemców, którzy z fachowych opiekunek ludzi starszych robią służące. Ale także ostro wypowiada się o Polkach, które ślepo godzą się na niegodne warunki.

„Za kryształowym lustrem” to gorzka książka. Gorzka, bo bardzo bliska prawdy.

Łucja Fice, „Za kryształowym lustrem. Wspomnienia opiekunki”, wyd. Warszawska Firma Wydawnicza, Warszawa 2017.

ROMANA HABDASA „LUDZIE I RZEKI, RZEKI I LUDZIE”

KRYSZYNA KAMIŃSKA

Ach, te ryby!

Nigdy nie rozumiałam wędkarzy, którzy potrafią godzinami stać nad wodą, by ewentualnie złowić jedną rybkę. Ale po przeczytaniu najnowszego tomu wierszy Romana Habdasa już wiem. Bo miejsca, w których łowi się ryby, są przepiękne.

Pierwszy tom wierszy Romana Habdasa nosił tytuł „W ramionach Drawy”. To było ponad 20 lat temu. Potem tematycznie przeniósł się on do miasta, w tomie „Z gliny ulepieni” analizował życie w blokach. Żywym źródłem literackim okazały się dla Romana wspomnienia dzieciństwa spędzonego w Mosinie koło Poznania. Poświęcił im tom wierszy „Żucie szczawiu” oraz powieść „Mały Paryż” czytana w Radiu Zachód. I już wydawało mi się, że Roman zajmie się prozą, ale wrócił do wierszy i do tematyki z pierwszego tomu, czyli do wędkowania, przyrody, do życia blisko natury.

Tom nosi tytuł „Ludzie i rzeki, rzeki i ludzie”, jak gdyby podwójnie podkreślając związek człowieka z przyrodą. Oto wiersz „Późne popołudnie za trzciniową wyspą”: *Schowany pod daszkiem czapki / Oblawiam zatoki obłoków. / Jeszcze daleko do zmroku, / Jeszcze wysoko dzień kwitnie. / Szarówek roziskrzają bolenie / Gwiazd krocie, spadając, usłyszają marzenia, / A stary kawaler, pełnią nadęty, / Rozjaśni sierpniową noc.*

Liryczny charakter wiersza przełamuje nuta żartu. Jest w tym tomie szereg wierszy z opisami wodnej przyrody, delikatnymi, czułymi opisami, a jednocześnie bardzo plastycznymi. Czytelnik po prostu widzi jezioro lub rzekę, brzeg, szuwary, łódkę, las. No i ryby. Roman Habdas kocha ryby. Chętnie wprowadza do wierszy ich dziwne nazwy gatunkowe, a także słownictwo wędkarskie to oficjalne, ba, nawet żargon wędkarski.

Na ryby najlepiej jeździć w towarzystwie. Tylko że coraz mniej kolegów-wędkarzy. Kilka wierszy w tym tomie dedykowanych jest tym, z którymi autor niegdyś wędkował, a oni teraz już na niebieskich jeziorach. Więc myślenie o przeznaczeniu, o tym, co nieuniknione. I znów zbieżność ludzi i rzek. Tytułowy wiersz:

Niezależnie od siebie płyną / rytmem przypisanego czasu. / Ze źródeł ziemi w oceany / Z kobyski łona w usta ziemi (...) / Ludzie i rzeki, rzeki i ludzie / O słońcu i księżycu / Przyjmują w czystość łożysk ikrę / Dają i odbierają życie.

Muszę jeszcze dodać, że Roman Habdas najchętniej wędkuje nad Zalewem Bledzewskim, a na jego brzegu ma letni domek nazwany Windsorem. Kilka wierszy poświęcił więc zalewowi, urokom życia w Windsorze i gminnej wsi Bledzew. Chyba nikt dotąd z takim zachwytem nie pisał o Bledzewie. Polecam te wiersze szczególnie mieszkańcom tej urokliwej miejscowości.

Roman Habdas, „Ludzie i rzeki, rzeki i ludzie”, Gorzów Wlkp. 2017, wyd. Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, 92 s.



ANNA DOMINIAK

Zwyczajnie po męsku

Rzeczne opowieści

Romana Habdasa

Przyznam, że biorąc do ręki czwartą poetycką książkę Romana Habdasa, obawiałam się, że będę miała do czynienia z mieszanką łatwych landschaftów i branżowych wynurzeń „spławikowych”. To mylne przeczucie było efektem pobieżnego spojrzenia na okładkę i biogram autora. Jednak tom ten okazał się pozytywnym zaskoczeniem. „Ludzie i rzeki, rzeki i ludzie” to obszerny zbiór ponad siedemdziesięciu bardzo autentycznych tekstów wyrosłych z zachwyty tym, co, jak się okazuje, od niepamiętnych czasów fascynuje autora, zapalnego wędkarza. To kontakt z naturą, rzeki, chłodne świty, męskie rozmowy, ale też milczące, cierpliwe wyczekiwanie na poruszenie tafli wody, nasłuchiwanie drgnień tego zielonego kosmosu. Ileż w tym czasie dzieje się w człowieku, ile myśli przepływa przez jego głowę! Z takiego właśnie dumania nad wodą wyrosły te wiersze, w których poeta zabiera czytelnika w podróż do ważnych dla siebie miejsc, które zna od podszewki i z którymi zrosło się jego życie:

Przychodzi, że pragnę w podmoczelskich mokrądkach tak po męsku, zwyczajnie wypłukania smętków. Siadam, gdzie popadnie.

(Zwyczajnie, po męsku)

Przestrzeń, którą przedstawia w swoim zbiorze Habdas, jest często poddawana zabiegowi teatralizacji. Oko poety potrafi w tych na pozór zwyczajnych krajobrazach zobaczyć prawdziwe misteria wschodów i zachodów. Poeta jednak jest nie tylko uczestnikiem i celebrentem tego egzystencjalnego teatru, podatnym na zachwyty, z czułością i atencją opisującym swoje zaczarowane światy. On jest też świetnym obserwatorem i dokumentalistą obszaru, który opisuje z pieczołowitością, z uwzględnieniem realiów topograficznych i krajobrazowych Gorzowa i okolic. Są tu rzeki, lasy, miasteczka i historia w nich zapisana. Habdas tę księgę natury doskonale zna, a jej treść tłumaczy własnym poetyckim słowem. Wspomina ślady cygańskiej poetki Papuszy czy pozostałości niemieckiego systemu umocnień w okolicach Międzyrzecza, a także całe mnóstwo innych kulturowych czy historycznych składników pejzażu. Nie do pominięcia jest zatem poznawcza wartość książki portretującej region. Opisywana przestrzeń jest często obiektem sakralizacji, stając się żarliwie wyznawaną religią. Natura w ujęciu poety szyfruje w sobie pierwiastki absolutu, domaga się pokory i skupienia w poszukiwaniu tego, co w sobie kryje. Stąd może wrażenie, że poeta posługuje się sciszonym tonem, gdy przygląda się tafli wód, czy też zagłąda w ich głąb, śledzi życie ryb, nasłuchuje szmerów i czerpie radość z kultuwowania prostego, epikurejskiego można powiedzieć, modelu życia. Elementy pejzażu często są przez Habdasa personifikowane, jak np. w zabarwionym erotyczną frazeologią wierszu „Wspominając Drawę”, gdzie rzeka to niewierna kochanka, za którą podmiot tęskni po rozstaniu. W trakcie lektury tego obszernego tomu nie opuszczało mnie wrażenie, że każde spośród mnóstwa opisanych przez Habdasa miejsc ma jakąś cechę zupełnie osobną, którą bystre oko poety potrafi wysublimować i opisać. Ta umiejętność wyłuskiwania ciekawych detali z obser-

wowanej rzeczywistości i celność formułowanych refleksji powoduje, że lektura ani przez moment nie nuży i nie sprawia wrażenia banalnych westchnień nad oczywistym pięknem. Opisy są bardzo liryczne, ale jednocześnie rzeczowe, nasycone konkretem. Wśród tekstów pejzażowych odnajdujemy elegijne narracje o ludziach, także tych, którzy przeminęli:

*Miałeś dokończyć zaczęty spływ, wrócić nad Paklicę.
Pozostawiony na rzece ślad ciągle czeka.
Canoe w szopce między ogrodami i oczy
Twojej matki utkwione w pagaju.*
(Cisza tak wiele mówi)

Ludzie. To właśnie oni, jak zapowiada tytuł tomu, stanowią główną, obok rzek, oś tematyczną zbioru. Ich życie, wzajemne relacje, tworzona wokół pasji wspólnota. Ale obok życia, również śmierć, naturalna i niezbywalna puenta ludzkiego losu, staje się drugim, z pozoru tylko marginalnym tematem książki. Wiele tekstów nawiązuje do ewangelii, biblijnego toposu rybaka, który wskazuje wyraźnie na bliską autorowi, chrześcijańską aksjologię. Takich refleksji nad egzystencją jest tu dużo więcej, co pozwala czytać tę książkę jako osobisty poemat filozoficzny. Pejzaże są tematem, ale jednocześnie tłem dla zaprezentowania namysłu nad światem, czasem, rozumieniem Boga, pojmowaniem szczęścia, rolą miłości. W kilku tekstach pojawia się żona poety, między innymi jako bohaterka nasyconego wyjątkowym autentyzmem, ale też niepozabawionego ciepłego dowcipu cyklu „Pogodzona czyli tryptyk o cierpliwości”:

*(...) Pogodzona z wędkami
nie ma żalu do spinningowej żyłki męża.
Ogólnie rzecz biorąc łączą ich ciepłe
stosunki.*

Rozmaicie można czytać książkę Habdasa – także jako realistyczny poemat opisowy, w którym przejawia autor swą czułość do rzeczy, pietyzm w opisie chociażby agrafki, która nie jest już zwykłą drucianą spinką, lecz staje się adresatką ody. Wielkim walorem książki jest przebogata leksyka profesjonalna, której użycie sprawia, że nie mamy najmniejszych wątpliwości, że autor jest prawdziwym pasjonatem wędkarstwa. Ale nie tylko wędkarstwa – Habdas doskonale orientuje się w ichtiologii i kulinariach. Profesjonalna terminologia staje się niekiedy elementem gry lingwistycznej (np. „Werbalnie o werbliku”). Habdas jednak to nie tylko utalentowany spinningista, wtajemniczony w arkania sztuki wędkarskiej jak mało kto i odnoszący w tej dziedzinie spektakularne sukcesy, ale też wyjątkowy pejzażysta tworzący słowem obrazy sensualne, plastyczne, poruszające nie tylko wizualnie, nasycone aurą, a jednocześnie bardzo konkretne. W tworzeniu tych obrazów czerpie z najlepszej tradycji liryki pejzażowej i impresjonizmu.

Kwestią wymagającą osobnego komentarza jest język poetyckich książek, który, jak już wcześniej zasygnalizowałam, jest liryczny i rzeczowy jednocześnie. To niewątpliwie walor, że uwzględniając w swojej książce takie bogactwo konkretnych detali, Habdas nie przestaje być poetyckim, jego metafory są świeże, dalekie od ujęć schematycznych. Skutecznie udaje się poecie uniknąć obrazów przeestetyzowanych i sentymentalnych. Jego fraza archaizuje, a w momentach, w których nasila się zastosowanie dawnych konstrukcji składniowych czy uporczywe stosowanie inwersji, może nawet sprawiać wrażenie anachronicznej. Podobnie często tu występujące, osławione metafory dopełniaczowe, mogące świadczyć o mocnym przywiązaniu poety do języka, który dziś traktowany jest jako miniony. Ale trudno jednoznacznie określić to jako mankament stylu, bo pomimo tych cech, nie jest to na pewno poetyka

skostniała. Język jest gęsty, obfity i płynnie wartkim nurtem. Jednak uczciwość wymaga zauważenia wpadek korektorskich – w tekście przeoczono dwa istotne uchybienia w pisowni.

Mimo wszystko tom ma niezaprzeczone walory. To przede wszystkim męski, sugestywny styl Habdasa, jego rzeczowe podejście do podjętej tematyki, sprawiające, że nie są to tak typowe dla tego nurtu banalne epifanie. Ten poemat o ludziach i rzekach nie jest w żadnym wymiarze wtórny. Książkę czyta się jak autobiografię, w której znalazło się miejsce na wszystko, co konstruuje egzystencję poety. Jest to rodzaj apoteozy życia tu i teraz, w takim, a nie innym wymiarze. Wiersze nie są kolejnymi pejzażami, każdy zawiera jakąś historię, sytuację, zdarzenie, nową refleksję. Można nawet powiedzieć, że Habdas ze swojej rzecznej przygody uczynił metaforę życia, w której zamknął całą jaskrawość świata i niegasnący zachwyt istnieniem.

PISZĘ WIERSZ O PUSTYNI

O najnowszych inspiracjach w poezji Marka Piechockiego

Poezja Marka Piechockiego zawsze mocno karmiła się inspiracjami. Autor odsłaniał ich źródła albo poprzez motta, albo cytaty wplecione we własne teksty. Wypowiedzi wybranych poetów często stawały się punktem wyjścia do podjęcia dialogu z innym spojrzeniem. To zetknięcie wewnętrznego głosu z bodźcem z zewnątrz prowadzi często do odkrywczych konstatacji. Dzieje się tak nie tylko w najbardziej wyraźnym pod tym względem tomie „Preteksty”, ale także w zbiorze „Ad libidum” zbudowanym z wierszy wyrosłych z fascynacji muzyką, której Marek jest miłośnikiem i znawcą. Ostatni tomik pokazuje, jak bardzo jest to twórca odczytany, otwarty na rozmowę z drugim człowiekiem, ale także urodę świata. „Przedstawienia” to książka złożona z dwóch części. Pierwszą stanowi 16 (wtajemniczeni wiedzą, dlaczego akurat tyle) datowanych wierszy, które powstawały od ostatniego dnia grudnia 2016 roku do 12 sierpnia 2017. Druga część natomiast to przejmująca elegia „Na odejście” – teksty poświęcone pamięci zmarłej wiosną 2017 roku Mamy, malarki Stanisławy Piechockiej oraz zamykające zbiór prozatorskie wspomnienie Ojca.

Kilkanaście wierszy z pierwszej części zdaje się wskazywać nowe źródła inspiracji twórczej. Jakby mniejszą siłą oddziaływania miały tu teksty kultury (choć nie znikają zupełnie), a większego znaczenia nabierały spotkania i rozmowy z ludźmi. Śladów takich spotkań i rozmów jest w tej książce wiele. Pojawiają się odległe miejsca, głównie chłodne, spokojne krajobrazy północy (irländzkie okolice Mullaghmore, rzeka Shannon). Zastłyszane w opowieściach przyjaciół krainy budzą asocjacje i wywołują refleksje. Piechocki mistrzowsko buduje ich aurę, szkicując wyważonym, dalekim od nadmiaru słowem, charakterystyczne dla specyfiki przestrzeni elementy. Krainy te próbuje zwizualizować w wyobraźni:

*Shannon. Śledzę jej bieg w Google Maps.
Potem płynę nią w swoim canoe.
Tak, to sen. Jak ten o Mullaghmore z zimowym wiatrem,
latarnią, zamkiem,
górami Ben Bulben, surferami.
Uczę się tamtego kraju z Wikipedii. Szukam ścieżek
dla swojego roweru w przewodnikach”.*
(Margo z I)

W tej części poznajemy kolejne etapy wyobrażonej podróży po świecie. Tym razem Piechockiego wabi świat, dlatego nawiguje w wyobraźni, pokonując kolejne, realnie istniejące punkty odniesienia, o których wiedzę nieustannie gromadzi. Okazuje się, że aby poznać świat, niepotrzebny nam bilet lotniczy, wystarczy wyżyć słuch i wzrok, wyostrzyć zmysł wyobraźni, uważnie wsłuchać się w zasłyszana opowieść.

Wiersze Piechockiego od zawsze mocno osadzone były w kulturowym nurcie. Poeta chętnie mówi o swoich fascynacjach nie tylko klasyką, ale też o bliskich mu, lokalnych twórcach. Charakterystyczną cechą jego zlizowanych opowieści jest umiejętność łączenia różnych form. Jest tu i monolog liryczny, i narracja, są anegdoty z życia literackiego, cytaty, fragmenty dialogów, didaskalia. Ten synkretyzm formy świetnie sprawdziłby się na scenie. Ale mimo tego silnego wpływu form epickich czy dramatycznych teksty te nie przestają być poezją. To, co w nich najistotniejsze, to zawsze obecne refleksje, do których prowadzą obserwacje czy skojarzenia, np. nazwisko wynalazcy wiecznego pióra ewokuje namysł nad mozołem procesu twórczego, który jest jak „skradanie się po słowa” („Stalówka z krzyżykiem i Keith Jarred”).

Częstym motywem w poezji gorzowskiego twórcy jest też konfrontowanie makro i mikroskali, przykładanie perspektywy kosmosu do intymnych zachwyty:

*Twarz księżycy. Stacja orbitalna.
Droga Mleczna. Warkocz Bereniki.*

*Lubię, jak włosy upinasz w dobierany
(Moja astronomia)*

Czas i przestrzeń są w ujęciu Piechockiego wartościami relatywnymi. W jednej strofie równolegle współistnieją: piszący sonet Buonarroti, malujący autoportret brat poety Juliusz i pracująca na oddziale onkologii kobieta, podająca nasenne tabletki pacjentom. Takie niezwykle postrzeganie świata, na pewno jako efekt iluminacji, zdarza się tu często. Podmiot doświadcza tych chwil wtedy, gdy jest blisko natury, wpatruje się w ogień, słucha strzelających szyszek („Nocne szepitanie lasu”).

Autor „Przedstawień” jest poetą komunikatywnym, ale obraz świata nie jest tu nigdy uproszczony. Ciekawe i symptomatyczne dla niego jest to, że chętnie sygnalizuje, skąd przychodzi impuls twórczy. Trudno policzyć, ile konkretnych, nazwanych imieniem osób, miejsc i sytuacji przywołuje w swojej poezji. To poeta, dla którego wbrew aury mizantropa, którą emanuje, bardzo istotni są ludzie. W swojej poezji chętnie podkreśla związki z nimi. Te wyraźne wskazania źródeł pozwalają lepiej poznać świat osobnego twórcy, w którego duchowy pejzaż od zawsze mocno wpisana była refleksja etyczna. Dowody tego odnajdujemy nie tylko w chrześcijańskim stosunku poety do świata, ludzi i Boga, ale także w tekstach bezpośrednio dotyczących kwestii aksjologicznych:

*Standardy. Dziesięć przykazań. Kazanie na górze.
Zapiski Konfucjusza. Siedem najważniejszych
lekcji Buddy. Sury Mahometa.*

*Wędruję grzbietami książek, podróżuję uważnie.
Prowadzę notatki. Z każdej
kilka zdań.*

(Spojrzenie)

Jak widać taka uniwersalizowana koncepcja etyczna zajmuje uwagę poety, także w tekstach typowo deklaracyjnych.

Duchowa perspektywa przejawia się również wtedy, gdy poeta opisuje doświadczenie cierpienia, nie tylko własnego, ale też ludzi spotkanych w szpitalach, przychodniach, poczekalniach, na ulicach. Bliscy są mu także pogubieni, wykluczeni, osobni. Chwile, w których spotyka cierpiących, opisuje, przełamując niejednokrotnie tabu, jak np. w wierszu „Witek Indian”.

Są w tym zbiorze wspomnienia dalszej i bliższej przeszłości, rozliczenia z sobą i swoim czasem. Nie brakuje też odniesień do muzyki, jakby nieustannie towarzyszyła twórcemu namysłowi. W autotematycznym, dotyczącym aktu tworzenia, ostatnim wierszu pierwszej części mówi o „pustyni i jej mieszkańcach”, o swoim wyborze oddalenia od świata, o silnej potrzebie alienacji, która wynika ze zranień i rozczarowań:

*Szum morza. Piasek skrzypi pod stopami.
Buduje zamek. To raczej warownia.
Z wieżami, blankami. Z księciem Z. zagram w szachy.
Nie dociekam już syndromu pustyni.
(...)*

(Piaskownica)

Drugi rozdział książki otwiera autoportret Matki poety, Stanisławy Piechockiej, sygnalizujący wspomnieniowy charakter zamieszczonych tu tekstów – zapisów spotkań z Nią w ośrodku, który stał się Jej domem w ostatnich latach życia. Te wiersze to wyraz bezradnej rozpaczki wobec cierpienia, choroby, nieuniknionego oddalania aż po „ostateczną odmowę światła”. Rozdział jest przejmującym, choć powściągliwie wyrażonym świadectwem odpowiedzialnej miłości i pamięci. Próbą oswojenia pustki, swoistym requiem, trenem uwieczniającym portrety Rodziców autora.

Książka jest, podobnie jak poprzednie tomy Piechockiego, niezwykle wysmakowana pod względem edytorskim. Jej osobisty, autobiograficzny i wspomnieniowy przekaz wzbogacają ilustracje – obok obrazu Stanisławy Piechockiej także portrety autorstwa brata poety, Juliusza Piechockiego, oraz fotografia Tomasza Naczka. Zarówno warstwa słowna, jak i wizualna, pokazują, że Marek Piechocki jest twórcą, który, poruszając się w obrębie wypracowanej przez siebie, bardzo charakterystycznej i osobnej dykcji, potrafi wciąż odkrywać kolejne inspiracje i wywodzić z nich nowe poetyckie światy i refleksje.

Anna Dominiak

*Zygmunt
Marek Piechocki,
„Przedstawienia”,
Gorzów Wlkp.,
2017, 34 s.*



Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze w dniach 8 i 9 listopada zorganizowała konferencję naukową „Czasopisma społeczne, kulturalne, artystyczne i literackie we współczesnej bibliotece”

Przed laty czasopisma opisywały życie kulturalne kraju i odkrywały nowości i narzucały artystyczne style. Współcześnie ukazuje się wiele tytułów prasowych, ale żaden nie cieszy się taką jak dawniej popularnością w całym kraju. Dlaczego? Jak w ostatnich latach zmieniła się funkcja czasopism? Czy są one w ogóle potrzebne? Organizatorzy spodziewali się odpowiedzi na takie i podobne pytania przede wszystkim od naukowców zajmujących się prasoznawstwem.

Z Gorzowa zaproszony był naczelny „Pegaza” Ireneusz Krzysztof Szmidt do udziału w panelu „Czy potrzebne są nam czasopisma literackie?”. Zaprezentował tam skromne numery „Pegaza Lubuskiego”, ale także jego oryginalną formułę jako pisma warsztatowego, skierowanego do określonej, stosunkowo niewielkiej liczby odbiorców, ale także poprzez internet dostępnego dla wszystkich. Okazało się, że taka właśnie formuła, połączona ze środowiskowymi spotkaniami promocyjnymi, jest w obecnych warunkach najbardziej korzystna. Bo wobec szalonego rozrostu treści i form rozpowszechniania, pisma powinny się ograniczać nie do tłumów, a do wąskiego kręgu zainteresowanych.

Natomiast w ramach prezentacji środowiska lubuskiego wystąpiła Krystyna Kamińska z referatem „Czasopisma kulturalne wydawane w Gorzowie po 1990 roku”. Gdy tylko pojawiła się możliwość wydawania czasopism przez osoby prywatne, natychmiast w Sądzie Okręgowym w Gorzowie zostało zarejestrowanych bardzo wiele tytułów prasowych. Czas pokazał, że był to tylko wyraz nadziei, bo pejzaż prasowy miasta ograniczył się do zaledwie kilku tytułów. Od 1971 do 2009 roku, czyli przez 38 lat, ukazywała się „Ziemia Gorzowska”, która w 1980 roku stała się tygodnikiem i ewoluowała od pisma partyjnego po tabloid. W 1991 roku zaczął się ukazywać „Trakt” wydawany przez Gorzowskie Towarzystwo Kultury, od 1992 wychodził dwujęzyczny „Prom/ Die Fähre”, rok później wydano pierwszy numer „Lamusa”, w 1994 rozpoczął żywot „Arsenał Gorzowski”, a w 1996 teatralna „Premiera u Osterwy”. Żadne z tych pism już nie istnieje. Pozostał jedynie ukazujący się od 2003 roku „Pegaz Lubuski”.

Wszystkie te pisma podlegały rozmaitym przemianom, zmieniły formułę i formę, aby lepiej trafiać do odbiorców, a mimo to musiały się poddać. Przede wszystkim ze względów finansowych. Życie pokazało, że tego rodzaju pisma mogą wychodzić tylko przy finansowej pomocy instytucji kultury lub jednostek samorządu lokalnego. Nie utrzymają się ani ze sprzedaży, ani z reklam.

Kilka prób powołania pisma reprezentatywnego dla gorzowskiego środowiska kulturalnego świadczy o tym, że z pismem wiązano nadzieje rozpropagowania dorobku, przetarcia dróg promocji itp. Obecnie funkcje te przejął internet.

Wokół redakcji gromadziło się grono dziennikarzy, którzy analizowali dokonania kulturalne i artystyczne, propagowali wzorce, wytyczali szlaki przemian. W ostatnich latach funkcja dziennikarza ograniczyła się przede wszystkim do przekazywania informacji. Analizy, recenzje, oceny to stałe zajęcia wszystkich odbiorców, szczególnie na portalach społecznościowych.

Spośród wymienionych tytułów na gorzowskim gruncie utrzymał się tylko „Pegaz Lubuski”. Ma on zapewnioną – choć niezwykle skromną – pomoc finansową ze strony Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta. Nad jego przygotowaniem merytorycznym pracuje red. nac. I.K. Szmidt, technicznym – informatyk Daniel Besta, korekta, promocja i sprawy organizacyjne, w tym kontakt z autorami – dwie bibliotekarki: Danuta Zielińska i Anna Sokółka. Autorzy najczęściej sami zgłaszają swoje teksty, czasem trzeba je zamawiać lub zachęcać autorów do współpracy. Pismo jest rozdawane za darmo. Ma również swoją

edycję internetową, a liczba wejść zdecydowanie przekracza liczbę drukowanych egzemplarzy. I to jest kolejne zwycięstwo internetu.

Czy przyszłość czasopism kulturalnych ograniczy się tylko do podobnych „Pegazowi” skromnych edycji środowiskowych – czas pokaże. Naukowcy z różnych ośrodków uniwersyteckich także nie potrafili znaleźć sposobu na degrengoladę czasopism kulturalnych.

*

Zielonogórska biblioteka zorganizowała konferencję o czasopismach w ramach obchodów jubileuszu jej 70-lecia. Z tej okazji wydano obszerną monografię placówki autorstwa Daniela Koteluka.

(KK)

IRENEUSZ K. SZMIDT

(fragment referatu wygłoszonego na konferencji)

„Mamy Pegaza!”

Takim tytułem opatrzyłem artykuł wstępny pierwszego numeru „Pegaza Lubuskiego” w maju 2003 roku. I dalej:

Podajemy kolejną w Gorzowie próbę osiedlenia skrzydlatego rumaka, skutecznego środka lokomocji jedynie dla tych, co wybierają się na Parnas.

Nie ma na świecie środowiska literackiego, które nie marzyło by o własnym piśmie. Tam, gdzie pisarze mogą swoje nowe utwory ujrzeć w druku, zanim pojawią się one w postaci książki, jest szansa na ich doskonalenie, bo w piśmie często stają się przedmiotem dyskusji, uwag i polemik krytycznych. Wokół pisma gromadzą się autorzy i czytelnicy ich późniejszych książek. Staje się ono stymulatorem życia literackiego danego środowiska, określonego granicami kraju, regionu czy miasta. (...)

Takie były plany i cel. Pytałem:

Czy nasz gorzowski PEGAZ – w założeniu miesięcznik, którego pierwszy, sygnałowy numer oddajemy dziś naszym czytelnikom, dzięki inicjatywie Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gorzowie oraz Zarządowi Gorzowskiego Klubu Literackiego ZLP – ma szansę stać się tak długo oczekiwanym pismem literackim?

Pierwszy numer PEGAZA daleki był jeszcze od formuły prawdziwego periodyku literackiego. To zaledwie arkuś, pomysłały jako program wspólnego wieczoru autorskiego gorzowskich członków i kandydatów ZLP, wydany w maksymalnej skromności nakładu i szaty edytorskiej. Zawdzięczaliśmy go osobistemu staraniu dyrektora WiMBP Edwarda Jaworskiego i Danuty Zielińskiej – kierowniczką Działu Informacyjno-Bibliograficznego tej instytucji (...), którzy podjęli moją inicjatywę i wsparli ją merytorycznie i materialnie.

Nie udało się stworzyć regularnego miesięcznika. Na to potrzeba dużo pieniędzy i zatrudnionych w redakcji ludzi. W porywach dochodziliśmy do siedmiu numerów rocznie. Ostatecznie ustabilizowaliśmy się na kwartalniku. Cóż, kryzysowe oszczędności dotknęły także naszego patrona, ale na ile go stać, ponosi podstawowe koszty realizacji pisma i jego promocji, tworzy także wizualną stronę obsługi środowiska pisarskiego Gorzowa, gromadzi popiersia tych z nas, którzy na zawsze odchodzą, a Salon Literacki na parterze ozdobiony jest kilkudziesięcioma kolorowymi karykaturami autorów książek, także tych spoza ZLP – dzieło naszego przyjaciela, także ilustratora wielu książek z serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego, Zbigniewa Olchowika.

Czas pokazał, że starczyło, jak na razie, na 70 edycji. I pewnie damy radę dociągnąć do „setki”, w dotychczasowej – warsztatowej formule czasopisma lokalnego. Osobiście zawsze jej strzegłem przy wsparciu mądrych przyjaciół „Pegaza”.

JESIEŃ - ZIMA 2017
**Promocja 3. numeru (70) „Pegaza Lubuskiego”
 WiMBP, 20.09.2017 r.**


Spotkanie z „Pegazem na żywo” po raz siedemdziesiąty otworzył prezes ZLP O/Gorzów, **Ireneusz K. Szmidt**. Na początek zadał wszystkim pięciominutową zadumę nad umieszczonym w tym numerze czasopisma

„Poematem dla dorosłych” z 1955 roku Adama Ważyka. Są tu też osobiste wspomnienia Ireneusza z czasów tzw. odwilży oraz jego fascynacji Ważykiem i poematem.

W tym znaczącym siedemdziesiątym numerze „Pegaza” znalazł się minipoeemat „Odwilż” ułożony z wierszy debutantki Julii Kusiak na siódmej kolumnie. Dalej krótkie „odkopane” przez prezesa teksty Kazimierza Furmana. Nowe wiersze poetek i poetów gorzowskich: Patrycji Kopackiej, Ireny Zielińskiej, Anny Kowali, Ireneusza K. Szmida i Romana Habdasa. Wszyscy autorzy przeczytali swoje wiersze.

Jest też wnikliwy tekst pt. „Zapisuję wszystkie moje ły” Anny Dominiak o najnowszym tomiku Ireny Zielińskiej „Córka wiatrów”. Czesław Sobkowiak w swoim „Zapiskach niecodziennym” wspomina Papuszę i Irenę Dowgielewicz.

O nowych książkach, jak zwykle interesująco, mówiła Krystyna Kamińska. Są to: Magdy Turskiej „Wodne granice”, Marii Borcz „Duchowy kanibalizm”, Ferdynanda Głodzika „Księga imion” i album o Annie Szymanek. Była też w tym numerze rozmowa z Markiem Lobo Wojciechowskim pt. „Świat jest muzyką, a życie to blues słodko-gorzki”. I różne wiadomości kulturalne – czyli o imprezach dziających się podczas kanikuły. Jest też słów kilka o wystawie fotografii w WiMBP Kazimierza Ligockiego. Na koniec Jerzy Alski przedstawił fragment swojej kolejnej powieści pt. „Mowa pogrzebowa”, a swoją trzecią książkę „Za kryształowym lustrem” zaanonsowała autorka Łucja Fice. Powiedziała ona na spotkaniu m.in.: „realizm połączyłam z metafizyką. Jest to powieść, gdzie wszystko mogło się przydarzyć...”.

(Promocja tej książki odbyła się w WiMBP 28 września).

Spotkanie podsumował Ireneusz K. Szmidt, anonsując promocję kolejnego tomu wierszy pt. „Poetycki portret miasta Gorzowa i jego mieszkańców”. Antologię wydano z okazji obchodów 760-lecia miasta.

**Inauguracja Sezonu Kulturalnego 2017/18
 w „ZUO na Zapiecku”, 24.09.2017**

Inauguracja odbyła się na terenie Zespołu Szkół Ogrodniczych w Zielenicy przy okazji XIX Jesiennego Kiermaszu Ogrodniczego.

W części artystycznej wystąpił zespół Teatralny „Tygiel” z Osiedla Poznańskiego i Grupa Rekonstrukcyjna, która przyjechała z Polski – całość w reżyserii Artura Nełkowskiego, wg scenariusza Hanny Kaup. Spektakl pokazywał, jak tuż po wojnie grupa repatriantów przyjeżdża do Lansbergu, jak witają ich radzieccy żołnierze, obiecując złote góry. Akcja spektaklu rozgrywa się w trzech planach, przed wejściem do budynku i w pałacowych pokojach. W pierwszym, w którym rodzina ma zamieszkać (choć jest on już zamieszkały), i w drugim, pełniącym kilka ról. Jest biurem burmistrza, klasą szkolną, miejscem do zabaw dzieci i dziedzińcem, na którym gromadzi się tłum.

Promocja książki „Bronisława Wajs-Papusza (1908-1987) – biografia i dziedzictwo”

Archiwum Państwowe w Gorzowie, 28.09.2017

Jest to praca zbiorowa pod redakcją Dariusza Rymara, składająca się z czterech części: „Wokół biografii”, „Recepcja badawcza i krytyczna”, „Spuścizna poetki w zasobach bibliotek”, „Spotkania

z Papuszą – wspomnienia, fascynacje, inspiracje”. W książce znajdują się opracowania wielu autorów. Są tu informacje znane z życia poetki, ale są też zupełnie do tej pory niepublikowane.

**Promocja książki Łucji Fice „Za kryształowym
 lustrem. Wspomnienia opiekunki”,
 WiMBP, 28.09.2017**

Ze wstępu: „Książka ta dopełnia trylogię Łucji Fice. Dwie poprzednie powieści to: „Przeznaczenie” oraz „Wyspa starców”. We wszystkich częściach autorka w przejmujący sposób ukazuje tęsknotę Polek za domem i rodziną. Napisać o pracy opiekunki i nie poprzestać na tragizmie – wszechobecnej starości, cierpieniu, śmierci – nie jest łatwo...”.

Ta promocja była trochę inna od tych, do których przywykliśmy. Było to spotkanie z książką „na żywo”. Były scenki z życia opiekunki, przedstawione przez zawodowych aktorów: Bogumiłą Jędrzejczyk i Beatę Chorążykiewicz oraz przyjaciół Łucji: Grażynę Popławską, Danutę Gołąbek, Ryszarda Stefaniaka, Ferdynanda Głodzika, Teresę Żurawską i Jerzego Zgorzałka. Sylwetkę autorki przybliżył Czesław Ganda. Były też nostalgiczne piosenki, które zaśpiewała Marzena Śron.

**FurmanKa w drodze, Gorzów, Klub „Jedynka”,
 10.10.2017**

Tym razem FurmanKa na spotkanie do Gorzowa przywiozła poetkę z Poznania Magdę Gałkowską, laureatkę XIV edycji Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Janka Bierzina (2008) i XIV-tyskiej Zimy Poetyckiej (2014). Wydała trzy książki. W 2009 r. tomik pt. „Fabryka butów”, w 2012 tomik „Tosca” i w 2014 r. tomik „Fantom”.



O Magdzie Gałkowskiej mówi się, że jest to mocny głos w poezji kobiecej. A ona sama dopowiada, że poezja powinna być osadzona w rzeczywistości, że pisze o wszystkim. O tym, co ją zachwyca i co ją wkurza. Według niej sztuką pisania poezji jest to, aby z banału wyciągnąć coś uniwersalnego. Pisze językiem takim, jakim się posługuje na co dzień.

W drugiej części spotkania odbył się Turniej Jednego Wiersza, w którym udział wzięli: Ferdynand Głodzik, Ireneusz K. Szmidt, Roman Habdas, Marek Stachowiak, Tomasz Walczak. Nagrodę otrzymał Marek Stachowiak.

Spotkanie prowadziły Beata P. Klary i Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk.

**Miejska Inauguracja Sezonu Kulturalnego
 2017/18 i gorzowskie Motyle, FG, 12.10.2017**

Motyle w wierzeniach Indian – to posłańcy bogów. Bogowie zesłali je na Ziemię, aby ludzie dowiedzieli się, czym jest prawdziwe piękno.

Do tegorocznej nagrody Prezydenta Miasta, gorzowskich Motyli, zgłoszono: Katarzynę Chorążyczewską, Martę Rembas, Wojciecha Kuskę, Beatę P. Klary, Cezarego Żołyńskiego, Tadeusza Szczurka, Błażeja Króla, Izabelę Patek, Monikę Wolińską. Kapituła pod przewodnictwem Sławomira Jacha nagrody przyznała: **Wojciechowi Kusce**, dziennikarzowi TVP, i **Błażejowi Królowi**, muzykowi.

Wcześniej przyznano medale i dyplomy Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego: Medale „Gloria





Artis” Zasłużony dla Kultury otrzymali: **Zofia Bilińska, Zbigniew Sejwa i Bolesław Malicki**. Odznakę Zasłużony dla Kultury Polskiej – **Szczepan Kaszyński**, a dyplomy za szczególne zasługi: **Iwona**

Bartnicka, Zbigniew Siwek i Wojciech Witkowski. W drugiej części gali z recitalem wystąpił **Michał Kwiatkowski**. A wcześniej pięknie zatańczył Zespół Tańca Ludowego „**Mali Gorzowiaci**” z MDK.

Wieczór z nieznaną twórczością Kazimierza Furmana, Jazz Klub „Pod Filarami”, 13.10.2017

Było to pierwsze spotkanie z nieznaną twórczością Kazimierza Furmana, z planowanych czterech. Janusz Dreczka w zakamarkach swojego komputera odnalazł opowiadanie Kazika o Agaciakowej. Być może jest w tym opowiadaniu coś z autobiografii autora. Tekst powstał w latach siedemdziesiątych.

Janusz Dreczka propagator poezji Kazimierza Furmana, na spotkaniu „Pod Filarami” przeczytał kilka fragmentów opowiadania, a muzyką spotkanie upiękniał kompozytor i wykonawca **Michał Wróblewski**, któremu te spotkania są dedykowane. Janusz Dreczka na wiosnę przyszłego roku planuje wydać całe opowiadanie drukiem.

Kazimierz Furman w Klubie „Pod Filarami” spędzał dużą część swojego dorosłego życia. Tu od niedawna, z inicjatywy kilku osób, stoi jego pomnik. Pamięć o Kazimierzu Furmanie jest ciągle żywa.

IX Ogólnopolski Festiwal Monodramów i Teatrów Małych Form „Bamberka”, MCK, 27-28.10.2017

Na Festiwalu pokazano dziewięć spektakli, które przywieźli: 2U1 Theater z Lubonia, Patryk Rybus z Centrum Kultury w Bydgoszczy, Grupa Artystyczna Teatr TCR z Tychów, Narybek from Poland z Mysłowickiego Ośrodka Kultury, Marta Pohrebny z ZOK w Zielonej Górze/Zabór, Teatr TUP z Tarnowa, Magdalena Bochan-Jachimek z Mostów, Teatr Przedmieście z Rzeszowa, Teatr Artystyczny Raban z Kobyłki.



Jury pierwszej nagrody nie przyznało. Drugie miejsce ex aequo przyznano:

– **Marcie Pohrebny z ZOK Zielona Góra/Zabór** za monodram „**Słodka**”. Scenariusz i reżyseria **Małgorzata Paszkier-Wojcieszonek** na podstawie tekstu **Marii Matios „Słodka Dariusia”**.

– **Małgorzacie Bochan-Jachimek z Mostów k/Gdyni** za monodram „**Mamy problem. Monodram macierzyński**”. Scenariusz **Szymon Jachimek**, reżyseria **Jakub Ehrich**, scenografia **Monika Ossowska**.

– **Grupie Artystycznej T.C.R z Tychów** za spektakl „**Knienie**”. Reżyseria, dobór muzyki, scenografia (inspirowana fragmentem jednoaktówki **Uwertury „Łaknąć”** wg **Sarah Kane**) **Marcin Stachoń**.

Trzecie miejsce przyznano: **Teatrowi Przedmieście z Rzeszowa** za spektakl „**Kroniki podwórkowe**”, scenariusz **Aneta Adamska, Paweł Sroka i Maciej Szukała**, scenografia **Paweł Sroka**, muzyka **Wiktor Marut**, reżyseria **Aneta Adamska**.

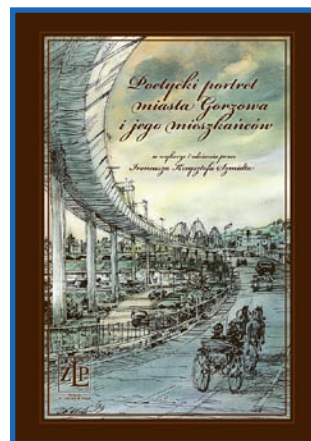
Wyróżniono: **Szymona Szczęcha z teatru TUP z Tar-**



nowa za monodram „**Jestem**”, **Piotra Stawskiego i Przemysława Niedzielskiego z Teatru Artystycznego Raban z Kobyłki** za spektakl „**Wyspa**” w reżyserii obu panów. Spektakl ten zdobył także nagrodę publiczności.

Poetycki portret miasta Gorzowa i jego mieszkańców. Promocja książki, wydanej z okazji 760-lecia Miasta Gorzowa, zorganizowana przez WiMBP i ZLP O/Gorzów, dnia 26.10.2017 w WiMBP

Antologia wierszy o Gorzowie w wyborze i opracowaniu **Ireneusza K. Szmida** została wydana jako 86. pozycja w Bibliotece Pegaza Lubuskiego ZLP O/Gorzów Wlkp. na pięknym kredowym papierze, ze wstępem **Krystyny Kamińskiej**, obrazami, grafiką, rysunkami i rzeźbami **Zofii Bilińskiej, Magdy Cwiertni, Andrzeja Gordona i Zbigniewa Olchowika**. Są w niej także zdjęcia kilkunastu gorzowskich fotografów. Na okładce piękny, nostalgiczny rysunek **Zbigniewa Olchowika**. Książka została podzielona na kilka rozdziałów:



Wstęp zatytułowany „**Ja to miasto naprawdę kocham**”. Następnie rozdział „**Gorzów – Tak było**”, gdzie znajdują się wiersze kilkunastu autorów piszących o trudnych początkach naszego miasta zaraz po wojnie. Potem rozdział „**Tutaj mieszkam**” i kilkanaście wierszy o najbliższej okolicy. Jest też rozdział poświęcony **Warcie pt. „O Warcie nad Wartą”**. Rozdziały: „**Gorzowskie tramwaje**”, „**Bóg też mieszka w Gorzowie**”, „**O miłości w pejzażu Gorzowa**”. O zwykłych losach mieszkańców i ich codziennym życiu w rozdziale zatytułowanym „**Życie, losy, praca**”. Dalej rozdziały: „**Dla miłego życia**”, „**Nostalgicznie**”, „**O domach, gmachach, ulicach**”, „**O ludziach zwykłych i niezwykłych**”, „**Poeci sobie, bliskim i najbliższym**”. Jest rozdział „**Uśmiech Gorzowa**” i „**Poeci dla dzieci**”. No i notki biograficzne autorów. W tej rocznicowej książce zamieszczono wiersze osiemdziesięciu autorów.

Podczas promocji w WiMBP za długim przydzielonym stołem zasiedli i swoje teksty przeczytali: prezes ZLP/O Gorzów i pomysłodawca książki **Ireneusz K. Szmida**, **Jerzy Gąsiorek, Anna A. Kowala, Jolanta Karasińska, Krystyna Dziewiałowska-Gintowt, Anna Żłobińska, Maria Karbowska, Irena Zielińska i Ferdynand Głodzik**, wiersze **K. Furmana** czytała **Danuta Gołąbek**, a **Zdzisława Morawskiego** jego żona **Maria**.

W dobie coraz mniejszego zainteresowania książką w ogóle ta pozycja ocala coś cennego, także dla potomnych. Jest to na pewno bardzo ważne wydawnictwo dla miasta. Brawo dla Gorzowskiego Oddziału ZLP, który ciągle trzyma „**rękę na pulsie**”.

„Dziady” Marcina Ciężkiego, MCK, 30.10.2017

Po raz pierwszy monodram ten, oparty na III części „**Dziadów**” **A. Mickiewicza**, **Marcin** wystawił chyba ponad 20 lat temu w ówczesnym **WDK**.

Obecna propozycja jest inna od poprzedniej. Wprowadził trochę nowych elementów i pewnych ulepszeń technicznych. Teraz ogląda się jego „**Dziady**” zupełnie inaczej. No bo i **Marcin** dojrzał przez ten czas, nabrał więcej szlifów aktorskich.



Lubuskie Spotkania Poetyckie „W pół drogi” – przystanek Gorzów, Klub „Jedynka”, 14.10.2017

Było to trzecie spotkanie z tego cyklu przygotowanego i modyfikowanego przez Beatę P. Klary. Poprzednie dwie edycje zrealizowano w Bibliotece Miejskiej w Świebodzinie. Bo tu przebiega symboliczna granica dzieląca nasze województwo na dwie części. Dlatego tytuł „W pół drogi”. Celem spotkań jest wzajemne poznanie się ludzi pióra, a szczególnie piszących poezję. W gorzowskiej edycji udział wzięli:

Hanna Szczęsna ze Świebodzina, z zawodu logopeda, która nie tak dawno wydała swój pierwszy tomik pt. „Szum myśli”. Jej teksty to bardzo krótkie formy. A poezja dla niej to magiczna siła tworzenia. W swoich wierszach odzwierciedla prostotę. Pisanie dla niej jest pewną autoterapią.

Renata Paliga z Gorzowa, z zawodu lekarka. Robi to, co lubi najbardziej. Jest nauczycielem akademickim na PAM w Szczecinie. Ma na swoim koncie bajki dla dzieci, sztuki teatralne i dwa tomiki poetyckie: „Gruszka na wierzbie” i „Osluchiwanie”. Ten ostatni tomik zdobył pierwsze miejsce w kategorii poezji na ogólnopolskim konkursie dla piszących lekarzy.

Michał Banaszak z Zielonej Góry, z zawodu prawnik. Jego pierwszy tomik poetycki to wygrana w konkursie im. A. Świrszczyńskiej w Krakowie na Książkowy Debiut Poetycki. I tak powstała jego pierwsza książka pt. „Piosenka o rozpadzie”. Tomik ukazał się w ub. roku. Pierwszy wiersz napisał w roku 2015. Pisze pod wpływem impulsu. Pisanie rozpoczął od przekładów, którymi się trochę bawił.



Adam Korzeniowski z Gościmia, z zawodu nauczyciel. Właśnie wrócił z kolejnej podróży. Tym razem przemierzał wzdłuż i wszerz Etiopię. Adam ma na swoim koncie dwa tomiki poetyckie: „Wiersze osobiste” i „Moja nadzieja”. Zajmuje się też fotografią i swoje zdjęcia prezentuje na wystawach.

Na koniec podyskutowano też trochę o tym, czy poeta powinien zajmować się polityką... Byłam na wszystkich spotkaniach i to gorzowskie było najciekawsze. Może także dlatego, że trochę nas na widowni było... A zasłuchany odbiorca zawsze dodaje skrzydeł.



Teatr na Dzień Niepodległości, Stary Rynek, 11.11.2017

Program powstał wg pomysłu Artura Nelkowskiego, aktora i Jana Tomaszewicza, dyrektora gorzowskiego teatru. W Dniu Niepodległości na Starym Rynku wystawiono patriotyczne widowisko. Inscenizacja ta powstała na kanwie wcześniejszych spektakli, granych w naszym teatrze, które mówiły o tematyce ojczyzny i niepodległości. W dużym przekroju i skrócie, od czasów Józefa Piłsudskiego do czasów najnowszych pokazano dzieje utrwalania polskości. Głównym tematem była ojczyzna. Obrazki ze spektakli przepleciono piosenkami z bliższych nam czasów.

XXXIV Gorzowskie Spotkania Teatralne Teatr im. J. Osterwy, 10-17.11.2017

W trakcie tegorocznego spotkania publiczność zobaczyła osiem spektakli:

gorzowskiego „Hamleta” W. Szekspira, w reż. Błażej Peszka,
„Dziennik przebudzenia” Agencja CDN z Krakowa, w reż. i wykonaniu Adama Ferencgo,

„Wielką Encyklopedię Sowietką”, Kolyada Teatr z Jekaterynburga,

„Dobry Wojak Szwejk idzie na wojnę”, Och-Teatr z Warszawy, reż. A. Domalik,

„Edukację Rity”, Scena Spectrum z Warszawy, reż. A. Strzelecki,

„Ojca”, Teatr Ateneum z Warszawy, reż. Iwona Kempa,

„Upadłe anioły”, Och-Teatr z Warszawy, reż. K. Janda,

„Ach! Odessa – Mama...”, Lubuski Teatr z Zielonej Góry, reż. Jan Szurmiej.



Mirosława Szott laureatką
Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza

ŚWIĘTO LITERATURY LUBUSKIEJ

W piątkowe popołudnie (24 XI) w dostojnych murach Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze wręczono po raz kolejny Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza – przyznawaną przez Oddział Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze. Oddział ZLP już 56 lat trwa „na posterunku” i tworzy – w sposób zapewne niezauważalny dla większości mieszkańców regionu i Zielonej Góry – historię miasta i województwa. Pisarze, poeci, krytycy piszą i wydają książki, które tutaj zostaną na zawsze, bo składają się na lokalną rzeczywistość, a zarazem ją opisują. Mimo niewielkiego dziś szacunku dla słowa pisanego, gdzieś w bibliotekach, archiwach te prace na pewno przetrwają. Pierwsza część uroczystości poświęcona była pamięci **Janusza Koniusza**, zmarłego w marcu br. poety, który swoje życie na dobre i złe związał z Zieloną Górą. Sejmik województwa lubuskiego podjął uchwałę, którą uhonorował pisarza, przyznając mu odznakę honorową „Za zasługi dla województwa lubuskiego”. Wiceprzewodniczący sejmiku **Tomasz Wontor** wręczył ją żonie pisarza – Izabelli Koniusz i córce Donacie Wolskiej. Jednocześnie **Eugeniusz Kurzawa**, prezes Oddziału ZLP, przekazał na ręce obu pań przywieziony prosto z drukarni zbiór poezji J. Koniusza „Wiersze ostatnie” wydany pod jego redakcją. Promocja książki ma się jednak odbyć dopiero w przyszłym roku, 1 lutego, w 84. rocznicę urodzin poety. Wręczenie odznaczenia rodzinie J. Koniusza zapelniona gośćmi sala witrażowa przyjęła oklaskami na stojąco. Był to bardzo piękny i wzruszający moment. Druga część imprezy poświęcona była wręczeniu **Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza**, związanej ongiś z Zieloną Górą poety, krytyka, edytora, animatora życia literackiego. Nominacje do nagrody otrzymali: **Władysław Kłepka (poeta)**, **Zofia Mąkosa (prozaiczka)**, **Mirosława Szott (poetka, krytyczka)**. Ostatecznie kapituła zdecydowała, że tegoroczną laureatką została – związana z Uniwersytetem Zielonogórskim, pochodząca ze Zbąszynka **Mirosława Szott**. Laureatka otrzymała szklaną statuetkę z zatopionym autografem Andrzeja K. Waśkiewicza i dyplom. Nagroda miała również wymiar finansowy, co dla młodej doktorantki UZ na pewno nie jest bez znaczenia. Fundatorem był Euroregion „Sprewa-Nysa-Bóbr”. Nagrodę Waśkiewicza wręczali: jego żona Anna Sobecka, która przybyła z Gdańska, i wiceprzewodniczący sejmiku T. Wontor.



Anna Sobecka, żona Andrzeja K. Waśkiewicza, wręcza Nagrodę Literacką Mirosławie Szott. Obok Zofia Mąkosa i Władysław Kłepka – nominowani do nagrody przez kapitułę

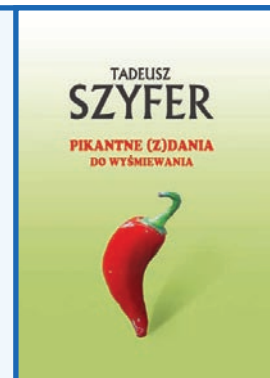
UWAGA! UWAGA!

18 grudnia o godz. 17.00
WiMBP im. Zb. Herberta
zaprasza na promocję książki
satyr (ponad 600 stron!)
aforysty i fraszkopisa
TADEUSZA SZYFERA

Tadeusz Szyfer, gorzowski
mistrz małych form literackich,
w 2014 roku obchodził 50-lecie
debiutu literackiego na łamach „Stilonu Gorzowskiego”,
w 2018 r. przypadnie jubileusz Jego 80. urodzin.

Gorzowski fraszkopisarz jest krytycznym obserwatorem i wnikliwym recenzentem postaw i zachowań polskiego społeczeństwa, także lokalnego, w takich przestrzeniach życia, jak polityka, gospodarka, obyczajowość, erotyka, kultura, literatura czy sport. Należy do najlepszych mistrzów ciętego języka. Do historii przejdą jego potyczki słowne na fraszki, aforyzmy czy myśli z innym gorzowskim satyrykiem, nieżyjącym już Janem Grossem. Dorobek twórczy Tadeusza Szyfera obejmuje kilkanaście tysięcy zawartych w różnych czasopismach i wydawnictwach utworów. Bibliografia pisarza obejmuje łącznie 10 wydawnictw książkowych, poczynając od debiutanckiego zbioru fraszek „Parę gaf i paragraf” (1980), po „Moje zmyślenia” (2014). Jest również autorem jasełek i bajki dla dzieci „Leśny dziadek” (według pomysłu Renaty Hryniewieckiej) oraz współautorem albumu erotyków „Ja – teksty, a seks – ty” z grafikami Bolesława Kowalskiego. Tej imponującej twórczości nie jest w stanie objąć jedna publikacja. Nasza książka, „Pikantne (z)dania do wyśmiewania” – adresowana do ludzi, którzy lubią satyrę i humor – jest próbą ogarnięcia najwartościowszych, wskazanych przez Pisarza, uprawianych przez niego form literackich. Zawiera ponad trzy tysiące utworów, w tym ponad 2600 fraszek, ponad 400 aforyzmów, 43 limeryki, 20 humoresek, 5 szopek i 10 wierszy. Powstanie niniejszej książki było możliwe dzięki zaangażowaniu samego Autora i mozolnej pracy bibliotekarzy, a w szczególności Danuty Zielińskiej i Anny Sokółki oraz Sebastiana Wróblewskiego (skład tekstu) i Zbigniewa Olchowika (oprawa graficzna), którym tą drogą składam serdeczne podziękowania.

Edward Jaworski
Dyrektor Wojewódzkiej
i Miejskiej Biblioteki Publicznej
im. Z. Herberta w Gorzowie Wlkp



CZASOPISMO
LITERACKIE
pod auspicjami
WiMBP i ZO ZLP
w Gorzowie Wlkp.

Red. nac.: Ireneusz Krzysztof Szmidt – tel. kom. 501 520 227. Sekretarz red.: Danuta Zielińska – tel. 95 727 70 70. Współpraca: Jerzy Alski, Anna Dominiak, Beata P. Klary, Krystyna Kamińska, Ewa Rutkowska. Grafika i rysunki: Jacek Lauda, Zbigniew Olchowik. Zdjęcia: Agencja Gazeta, Archiwum CEA-FG, Bogdan Bloch, Jacek Buczyński, Beata P. Klary, T. Krawiec, Ewa Kunicka, Kazimierz Ligocki, Łukasz Kulczyński, Marzena Maćkała, Piotr Merda, Bartłomiej Nowosielski, Izabela Patek, I.K. Szmidt oraz archiwum wydawcy i autorów. Wydawcy: ZO ZLP, WiMBP im. Zbigniewa Herberta, ul. gen. Wł. Sikorskiego 107, 66-400 Gorzów Wlkp., e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl. E-mail red. nac.: i.k.szmidt@wp.pl; www.zlp-gorzow.cba.pl. Skład komputerowy: Daniel Besta i I.K. Szmidt.

TROCZĘ POLITYKI

Preludium burzy

Grzmot to
Motto.

Cel dążeń

Tylko prezes wie,
Jego słudzy – nie!?

Tajemnicza nowogrodzka

Brak stamtąd przecieków,
a to jest przyczyną,
Że są uszczelnieni wszyscy wazeliną.

Achillesowa słabość

Pewien poseł, biedaczysko,
Miast rozumu – ma nazwisko.

Jakie „Mieszkanie+”?

Tę inicjatywę za to się docenia,
Że jest plan budować (dla siebie?)
więzienia.

Obsada

Wakat w dyplomacji jedynie oznacza,
Że jest znowu wolny etat – dla krętacza!

Kukiz'15

Przy działaniach tej partii – tajemnicy
mgiełka,
Bo tak samo zaczyna się wyraz:
kuk...iełka...

Z braku laku...

W tym czasie już na nartach ślizgać się
nie może,
W zamian za to w Etiopii jeździł
na traktorze!

Kwieciste przemówienie

Na tej „miesięcznicy” mówca wspomniał o tym,
Że to nienawiści symbol i głupoty,
Wkrótce dyrektywę dla ministra wróżę,
Aby, oprócz lasów, wyciął białe róże!!!

Fakty czy Oxford mity

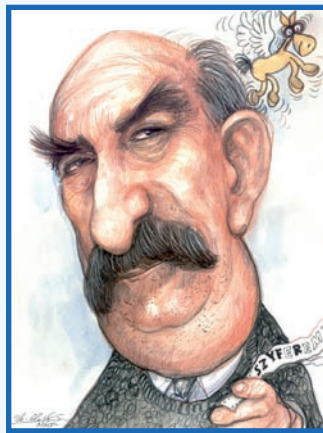
Ten bałagan rządowy nie dziwi nas wcale:
Sędzia niszczy nam prestiż
– doktor Caracale...

Z sejmowej trybuny

Przy krytyce prezesa pewien poseł musiał
Ciałem szefa zasłaniać. Ten o twarzy strusia.

Szczerłość

O niektórych posłach powiem prawdę całą,
Że każdy epitet byłby ich pochwałą!!!



NIEWIELE O SOBIE

Rok, nim pierwszy pocisk drugiej wojny
palnął,
Przyszedłem na świat – drogą zupełnie
legalną;

W czepku – ręcę głową.
W ten czepiek nie wierzą, dlatego może
Wszystko, co widzę w różowym kolorze,
Kończy się dla mnie pechowo.
A jak twierdzą niektórzy, ze złośliwym
cieniem,

Biorąc pod uwagę me wady i cnoty:
Moje istnienie jest żywym zaprzeczeniem
Przedwojennej, solidnej roboty!
Przez wiele lat potem co rano
Do różnych szkół mnie posyłano,
I chociaż miałem cały czas pod górę,
Uwierzyłem w cuda, gdy zdałem maturę...
Niewiele napiszę o studenckich latach,
Gdy zdałem egzamin – była dobra data,
By studenta z urlopu do armii wcielono,
Który do cywila wrócił, ale z żoną,
I kiedy się spostrzegł, jak szybko czas leci,
Zanim wydał książkę, już miał troje dzieci...

PS

Bardzo czas czytelnika i cierpliwość cenię,
Więc zamilknę – niech fraszki nie będą
milczeniem!!!

Godny podziwu dorobek

Gdy się naukowiec
W bzdurną sprawę wmota,
Im ma wyższy tytuł –
Tym większy idiota!!!

Drabinka kariery

Kaczka wpycha się na grzędę
Z hasłem: Sępom orłem będę!

Wiekowa pokuta

Z miłosnych uniesień –
Trzeba przyznać śmiało,
Już tylko popatrzeć –
Tyle mu zostało!

Fraszki z życia wzięte

Mruczenie kocura
Pieszczot uwertura...

Prawe to i Sprawiedliwe

Trzy czterdzieści emerytom,
A tym swoim + koryto!

O braku sumienia

Ma syna księdza – niech każdy wie,
Że hipokrytom z tym nie jest źle.

Cwaniacka zapobiegliwość

Po to rozdaje się swoim synekury,
By potem znaczniejsze brać emerytury!

Re forma sądownictwa (zasłyszane)

Pomysł „dobrej zmiany”
Jest na tyle dobry,
Że brzmień powitanie będzie tak:
– Dzień ziobry,
Więc przy pożegnaniu
Słowa też się zmienia,
Trzeba będzie mówić chyba:
– Do więzienia!

Importowane kibitką?

W filozofii PiS-u tkwi metoda ruska,
W idei tej sekty zawsze o to szło,
Aby złym rządzeniem obciążano
Tuska,
A skoro go nie ma – zwałac na PO!

Ryzykowna hipokrystia

O handel, ten w niedzielę,
Z nieba pomsty woła,
A „dzieła” swe sprzedaje
W przedsiönku kościoła.

Wyborcze fory

By wygrać wybory partia ma ten atut,
Że wszędzie wepchała swoich
Nominatów.

Na podwyżki cen paliw

Będą za to drogi!
Wiem to już na pewno,
Na każde przeczenie
nawet szkoda czasu,
Żeby łatwiej było pozyskane drewno
Powywozić z naszych
starożytnych lasów!!!

Postęp w „reformie” sądów

Ta trójwładza dobrze znana
Pana, Wójta i Plebana!

Z drugiego szeregu

On by się ożenił,
Lecz w tym cała bieda,
Że już spod pantofla
Tak rządzić się nie da!